

Kiedys na lekcji języka polskiego „celowo” zбочyliśmy z tematu i zaczęliśmy rozmawiać o zwierzętach. Najaktywniejsi byli ci uczniowie, którzy zazwyczaj sprawiali najwięcej kłopotów wychowawczych. Wtedy postanowiliśmy na serio zająć się zwierzętami. Początkowo tradycyjnie zbieraliśmy karmę i koce dla schronisk, przekazywaliśmy pieniądze dla Fundacji Tara i Gaja na ratowanie koni przed okrutnymi cierpieniami w transporcie i rzeźni. Powstał *Apel do ludzi w sprawie zwierząt* czy prace plastyczne pod hasłem *Gdyby umiały mówić*. Od dwóch lat realizujemy program *Komu potrzebne są biedronki* i jednym z jego punktów był właśnie konkurs *Ja – zwierzę*.

Miałyśmy duży kłopot z wyborem najlepszych prac. Początkowo chcieliśmy nagrodzić tylko kilka historii, ale okazało się, że po prostu się nie da. Stąd pomysł wydania niniejszego zbiorku. Wybrałyśmy prace, które wyróżniały się dojrzałością, pomysłowością i oryginalnością ujęcia. Opowiadania zamieszczone w poniższym zbiorku wzruszają, rozczulają, bawią. I znowu dzieci pokazały, że one doskonale wiedzą, co to jest prawdziwa wrażliwość, jak postępować sprawiedliwie i odważnie, a przede wszystkim, jak kochać.

Życzymy przyjemnej lektury.

Organizatorki konkursu:

*Monika Bednarska
Krystyna Inowolska
Elżbieta Podlipaska*

I miejsce
Justyna Gruszka, klasa IVb
Szkoła Podstawowa nr 210
Warszawa

Pies Czamp

Historia, którą chcę Wam opowiedzieć, zdarzyła się naprawdę. Mam nadzieję, że Was wzruszy i skłoni do przemyśleń.

Wabię się Czamp. Jestem kundlem - tak mówią o mnie ludzie, ale nie czuję się przez to gorszy. Nie mam rodowodu, metryki urodzenia, ale mam wielkie serce wypełnione miłością.

Gdy byłem szczeniakiem, to czułem, że ludzie, u których mieszkam, kochają mnie. Opiekowali się mną, dawali jeść, przytulali. Rodzina ta składała się z trzech osób. Był duży Pan, duża Pani i chłopiec o imieniu Wiktor. To właśnie ten chłopak najczęściej poświęcał mi czas. Wiktor brał mnie na ręce, głaskał i bawił się ze mną w ogrodzie. Kiedyś usłyszałem, jak mama Wiktora powiedziała: „Już czas, aby Czamp zamieszkał na podwórku”. Nie wiedziałem wtedy, co to dla mnie oznacza. Wiktor nie protestował. Wykonał polecenie swojej mamy i przyniósł z garażu łańcuch. Zawiązał mi go wokół szyi, a drugi koniec razem z palikiem wbił w ziemię przy budzie. Od tej pory to miał być mój dom. To było przykre. Zostałem sam. Już nikt do mnie nie podchodził, nikt mnie nie głaskał, nikt ze mną się nie bawił, nikt mnie nie przytulał. Zostałem sam, uwięziony na łańcuchu. Raz dziennie dostawałem miskę z jedzeniem. Zapominano wymieniać mi wodę. Traciłem z każdym dniem radość życia. Gdy podchodził do mnie Wiktor, merdałem ogonem, dając mu do zrozumienia, żeby pobawił się ze mną, aby zdjął mi z szyi ten niewygodny i gruby łańcuch. Wiktor nie zwracał na mnie uwagi. Przestałem dla niego istnieć. Rosłem, smutno patrząc na inne psy beztroško spacerujące po chodnikach ze swoimi właścicielami. Coraz gorzej się czułem, trudno było mi przeliść jedzenie. Łańcuch na szyi stał się ciasny i jeszcze bardziej niewygodny. Przelişkając najmniejszy nawet kawałek jedzenia, czułem nieopisany ból. Łańcuch wraśćał mi w skórę. Kilka dni leżałem przed budą, nie mogłem już jeść. Ból był nie do opisania. Pamiętam, że jakaś osoba zatrzymała się na chodniku i długo przyglądała mi się, potem gdzieś zatelefonowała. Po jakimś czasie zjawilo się pogotowie weterynaryjne. Zabrali mnie razem z łańcuchem. W gabinecie dostałem zastrzyk znieczulający i wielkimi obcęgami przecięto mi ogniwa łańcucha wrośniętego w skórę. Gdy znieczulenie przestało działać, czułem ból, lecz nie był już tak dotkliwy. Czułem, że jestem wolny. Byłem wdziękny losowi. Dostałem drugą szansę. Trudno mi opisać, co wtedy czułem. Trafiłem do schroniska. Wszyscy znali tam moją historię. Było mi tam dobrze, ale nie tak wspaniale jak jest teraz. Pewnego dnia w schronisku pojawiło się małżeństwo, które poszukiwało nowego pupila. Wybrali mnie. Jestem znowu szczęśliwy, czuję się kochany i potrzebny. Mam własne posłanie w domu. Nie noszę łańcucha. Mam obrożę, na której jest napisane moje imię i numer telefonu opiekunów, na wypadek gdybym się kiedyś zgubił. Troszczą się o mnie. Czuję, że jestem dla nich kimś wyjątkowym, ich przyjacielem.

Miałem dużo szczęścia, ale zdaję sobie sprawę, że moja historia mogłaby skończyć się zupełnie inaczej. Gdyby tak było to, pewnie bym Wam jej dzisiaj nie opowiedział.

I miejsce
Aleksandra Bowanko, klasa VB
Szkoła Podstawowa nr 203
Warszawa

Fragles

Opowiem przygodę, którą przeżyłem jako szczeniak. Najpierw się przedstawię. Wabię się Fragles, jestem mieszańcem cocker spaniela i golden retrievera.

Moja mama była rasy cocker spaniel. Wiem tylko, że wszystkie psy w okolicy ją uwielbiały. Zaraz po urodzeniu mojego brata Mokiego i mnie zmarła. Ja również byłem bliski śmierci. Właściciele mojej matki trzymali ją tylko po to, by jeździć z nią na wystawy. Nie chcieli zajmować się dwoma kundelkami, więc wpakowali nas do samochodu i wywieźli daleko za miasto. Bardzo się bałem. Nie wiedziałem co robić. W końcu właściciel zatrzymał się, rzucił nam kawałek kielbasy na przynętę i przywiązał do drzewa. Staliśmy pełni nadziei, że po nas wróci. Jednak nie pojawiał się przez godzinę, drugą, trzecią. Wtedy straciliśmy jakąkolwiek nadzieję, że ktoś nas uratuje. Szczekaliśmy głośno, wylisśmy, ale to nic nie pomagało. Po paru godzinach przeszedł obok nas lis. Wystraszyliśmy się, ale właściciel rudej kity nie zwrócił na nas uwagi. Byliśmy głodni, spragnieni, wyczerpani. Baliśmy się najmniejszego szelestu gałęzi. W końcu mój brat Moki próbował zerwać sznur. Ciągnął z całej siły. Pętla zacisnęła się na jego szyi, mój brat upadł na ziemię i nigdy już się z niej nie podniósł. Zaczęłem piszczeć, marzyłem tylko o tym, żeby mnie to spotkało zamiast jego. Bardzo chciało mi się pić. Zostałem sam w ogromnym lesie.

Mogłem wybrać – zginać tak jak mój brat, dusząc się, lub powoli czekać na śmierć głodową. Miałem jednak troszeczkę nadziei, że ktoś mnie odnajdzie. Już zamierzałem się udusić, gdy obok drzewa przechodził leśniczy. Zaszczekałem, a on to usłyszał. Szybko podbiegł do mnie i odwiązał linę. Wziął Mokiego na rękę, a mnie przywołał przyjaznym gwizdaniem. Podbiegłem szybko jak nigdy dotąd.

- Może Mokiego uda się uratować? Co ja bez niego zrobię? Pewnie oddadzą mnie do schroniska, takiego, o jakim opowiadała mi kiedyś mama. Ciasnego, pełnego piesków, które przeżyły podobne przygody jak ja – myślałem przez całą drogę.

Jednak moje obawy okazały się niesłuszne. To znaczy Mokiego niestety nie udało się uratować, ale mój wybawca wywiesił ogłoszenie, że poszukuje właściciela dla szczeniaka. Zgłosiła się rodzina z dziećmi, mieszkająca w dużym domu z ogrodem. Leśniczy zadał im parę pytań i gdy stwierdził, że oddaje mnie w dobre ręce, przekazał im moje legowisko, ulubioną miskę i... obrożę mojego brata. To ostatnie ucieszyło mnie najbardziej, ponieważ była to jedyna pamiątka po nim.

Z rodziną, która mnie przygarnęła, żyło mi się wspaniale. Dokupili jeszcze jednego psa, a właściwie suczkę, i nazwali ją Dysy. Od razu spodobała mi się. Po roku mieliśmy szczenięta. Na szczęście nie spotkała ich taka tragedia jak mnie. I mam nadzieję, że już żaden pies nie będzie musiał tak cierpieć. Jednak co roku coraz więcej pieszków i innych zwierząt ginie podobnie jak Moki. Pomóżcie im, nikt nie zasługuje na taką śmierć!

Opowiedziałem historię w całości opartą na faktach. Na moim przykładzie możecie się przekonać, jak bardzo okrutni mogą być ludzie.

II miejsce
Daria Kaźmierczak
Szkoła Podstawowa nr 211
Warszawa

Znaleziony dom

Opowiem wam pewną historię – historię mego psiego życia, które jeszcze się nie skończyło i mam nadzieję, że szybko się nie skończy.

Nosiłam wiele imion, obecnie moje panie wołają na mnie „Nuka”.

Urodziłam się pięć lat temu, w dzień ponury i ulewny. Wraz z moimi siostrami i braćmi leżeliśmy przestraszeni przy naszej matce. Nie pamiętam już ich – mam już swoje lata i pamięć czasem mnie zawodzi. Wiem natomiast, że zawsze świetnie się dogadywaliśmy, a kłótni o miskę nie było wśród nas prawie nigdy.

Dwie pełne radości i zabawy wiosny spędziłam z moim stadem, w którego skład wchodziła moja psia rodzina oraz trójka ludzi. Wysoki pan był zawsze surowy i odrobinę niechętny naszemu towarzystwu, jednak gdy zostawaliśmy sam na sam, był dla nas miłszy. Jego żona zawsze ze zrozumieniem patrzyła na zbite przez przypadek w zabawie wazonu i ubrudzone śladami błota dywany – widać nie byliśmy jej pierwszymi podopiecznymi. Natomiast ich córka była niesamowita – całymi dniami biegała z nami po podwórku, rzucała nam rozmaite piłeczki, pozwoliła spać na łóżkach, a gdy nikogo nie było w zasięgu wzroku, potrafiła nawet wykraść dla nas przysmaki z lodówki. Bardzo kochałam naszych opiekunów, tak samo jak cała moja rodzina.

Czasami jednak chcieli od nas różnych głupich rzeczy, na przykład turlania się po dywanie czy szukania karmy w zwiniętych w rulon kocach, ale za radą matki wszystkie wypełnialiśmy jak najlepiej. Wtedy mogliśmy mieć pewność, że ludzie będą nas dobrze traktowali i nie zrobią nam najmniejszej krzywdy. Zawsze mnie to dziwiło, ale cóż mogłam poradzić? W mojej roli było tylko być posłuszną i grzeczną sunią. Nic więcej.

Pewnego dnia jednak coś poszło nie tak i gdy wyruszyliśmy do pobliskiego sklepu, właściciel przywiązał mnie do słupa i odszedł. Widziałam, jak rodzeństwo i moi rodzice szarpiały smycze, aby mi pomóc i mnie uwolnić.

Widziałam także łzy w oczach dziewczynki, która tak bardzo mnie kochała. Jednak odchodzili i z każdym krokiem potwierdzali to, co przypuszczałam – zostawiali mnie na pastwę losu, złych ludzi i ulicy.

Bałam się. Szczękałam i wołałam o pomoc, o to, żeby wrócili i zabrali mnie do domu. Żeby to wszystko okazało się głupim żartem. Jednak oni nie wracali,

a przechodzący ludzie nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. Zachowywali się tak, jakby widok porzuconego i przestraszonego psa był dla nich codziennością. Po chwili zrezygnowałam ze zdzierania gardła. Położyłam się, opierając głowę o słup. Tak bardzo marzyłam, żeby wrócić do domu. Albo żeby chociaż ktoś się zatrzymał, pocieszył i zabrał mnie do siebie. Ale dla wszystkich byłam powietrzem, nie liczyłam się dla nikogo.

Gdy zaczęło zachodzić słońce, pogodziłam się z losem. I wtedy podeszła do mnie ona, wysoka brunetka, z łagodnym głosem i szczerością w zielonych oczach. Co najważniejsze - miała w ręce kawałek mięsa, a ja byłam tak strasznie głodna! Za nią zobaczyłam pana, może jej partnera. Szedł w naszą stronę ze smyczą i kagańcem. Dałam założyć sobie spokojnie obie rzeczy, jednak gdy zaczęli mnie ciągnąć w kierunku metalowej klatki, dostałam ataku paniki. Nie przejmowałam się paskiem materiału zaciskającym się na moim pysku - szczeakałam, próbowałam gryźć i drapać, wołałam o pomoc. Tak strasznie się bałam. Jednak oni byli silniejsi i, wciąż mnie uspakajając, zaprowadzili do ciasnej i zimnej metalowej klatki. Kiedy znów otworzyły się drzwi mojego prywatnego więzienia, znalazłam się w schronisku dla zwierząt.

Widok tyłu złapanych i nieszczęsnych zwierząt skłonił mnie do podjęcia ostatnich prób walki. Oczywiście przegrałam - długi stres dawał o sobie znać, ale nie pozwalałam sobie na sen i wciąż zachowywałam czujność. Po badaniach przez znieświadzonego przez wszystkie psy weterynarza zamknęli mnie w większej klatce, gdzie miałam również kawałek przestrzeni z trawą. Na początku nie chciałam jeść ani pić, jednak bariery psychiczne przełamało moje towarzystwo w boksie, które było wyjątkowo udane. Była to niedowidząca, ale pełna życia i radości Psota, troszkę denerwująca, ale trzymająca z daleka ciekawskie psy Figa oraz spokojny i zawsze opanowany Santiago.

Spędzaliśmy wiele czasu razem, snując marzenia i plany o życiu poza schroniskiem. Nie było nam razem źle - mieliśmy bardzo miłe opiekunki, które zajmowały się nami bardziej niż innymi podopiecznymi schroniska - jednak to nie to samo co życie we własnym, ciepłym i pełnym miłości domu.

Wiele osób zachwycało się mną - moimi stojącymi uszami, lśniąca i długą sierścią, miłym wyrazem pyska, przyjacielską naturą i ogólnym wyglądem - jednak nikt nie zdecydował się zabrać mnie ze sobą.

Moja obecna pani zaczęła mnie odwiedzać, gdy liście z drzew zaczęły tworzyć na ulicach kolorowe dywany. Regularnie zabierała mnie na spacer do pobliskiego lasu i przynosiła smakołyki. Za pierwszym razem była z nią również jej córka, która pragnęła mnie od razu zatrzymać, gdyż niezwykle się jej spodobałam.

Niedługo po spadnięciu śniegu przyjechały obydwie. Byłam taka podekscytowana, że wdawałam się w sprzeczki z moimi współlokatorami. Oni uważali, że nie powinni nam robić nadziei na wyjście, jednak ja wiedziałam, że te dziewczyny zabrają mnie do domu.

W końcu, gdy zobaczyli, że rozmowy ze mną na ten temat są bezsensowne, zajęli się swoimi sprawami, jednak wciąż obserwując mnie kątem oka.

Miałam oczywiście rację. I po kolejnej wizycie u weterynarza musiałam się pożegnać z przyjaciółmi. Było mi przykro, że ich zostawiam w schronisku, sama jadąc w stronę lepszego życia, do pełnego miłości i radości domu. Ale wciąż miałam nadzieję, że ktoś zabierze te psy do siebie. Wiedziałam, że mój wyjazd jest

tez dla nich pewnym pocieszeniem. Wiedzieli teraz, że są jeszcze ludzie, którzy mogą ich zabrać do domu. Dałam im nadzieję i byłam z siebie w pewien sposób dumna.

Dzisiaj mieszkam na warszawskiej Pradze, dostaję regularne posiłki, mam swoje wygodne legowisko, dużo zabawek oraz spaceru tak długie, że czasem nie mam po nich siły wstać z dywanu. Mogę również sypiać na kanapie, łóżku pani czy fotelu – tak bardzo to lubię!

A co najważniejsze – znalazłam swoje miejsce na ziemi i ludzi, którzy mnie kochają tak bardzo jak ja ich. I choć czasem boję się, że mnie porzucą, to z roku na rok ta obawa zanika, wypierana przez prawdziwą przyjaźń człowieka z psem.

II miejsce
Patryk Baran, klasa VIc
Szkoła Podstawowa nr 203
Warszawa

Lisi punkt widzenia

Pewnego słonecznego zimowego dnia wybrałem się na spacer po lesie. Jak zwykle zajrzałem na wielką polanę, na której latem znajdowały się krzaki z pysznymi owocami: leśnymi jagodami, jarzębiną i malinami. Wspomnienia o tych smakołykach sprawiły, że poczułem się bardzo głodny. Taki piękny, rudy lis jak ja potrzebuje bowiem czegoś konkretnego do jedzenia. Mogłem je znaleźć tylko w mieszczącym się nieopodal lasu gospodarstwie wiejskim. Wiedziałem, że kurnika z tłuszczkami kurami pilnuje wielki pies. Zwykle jest czujny, ale słoneczna pogoda rozleniwiała go do tego stopnia, że zasnął przy bramie. Nie byłbym lilem, gdybym nie wykorzystał swojego sprytu i nie schwytał przynajmniej jednej kurki. Odkąd w nieustalonych okolicznościach zaginęła moja żona lisica, musiałem sobie radzić sam.

Wracając z zagrody, spotkałem na ścieżce koło wielkiego dębu niedźwiedzicę i silnego wilka o srebrzystoszarej sierści. Ucieszyłem się na ich widok, ponieważ pomagali mi w poszukiwaniach mojej żony. Niestety nie mieli dla mnie dobrych wiadomości. Nadal nie znaleźli żadnych śladów jej istnienia. Zasmucony siadłem pod drzewem.

W pewnym momencie usłyszałem ludzkie głosy. Ukryłem się w niewysokich zaroślach i w oddali zobaczyłem wysoką kobietę z myśliwym. Kiedy zbliżyli się do miejsca, w którym się znajdowałem, mój wzrok zatrzymał się na „szalu” kobiety. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Jej szyja i ramiona były pokryte srebrnym lilem. Spojrzałem na pyszczek i oczy na skórze lisiej. Zadrzałem. To było spojrzenie mojej ukochanej, zaginionej towarzyszkę życia. Wiedziałem, że niektórzy ludzie są okrutni i zabijają zwierzęta. Znałem ich dotąd tylko od dobrej strony, ponieważ dokarmiali nas w zimie, chronili przed kłusownikami. Dlatego nie sądziłem, że taki straszny los spotka najbliższą mi osobę.

Nieoczekiwanie od strony polany nadbiegło dwóch młodych chłopców, którzy wydawali indiańskie okrzyki. Niszczyli drzewa w lesie oraz zakłócali sen zwierzętom. Zbliżyłem się do nich z nadzieją, że wystraszą się i uciekną. Niestety

to nie zadziało. Oni dalej hałasowali. Dopiero po chwili, znudzeni wybrykami, oddalili się.

Okazało się, że to jeszcze nie koniec przykrych spotkań. Powoli zacząłem iść w kierunku mojego legowiska. Po kilku krokach dostrzegłem smakołyk leżący na ziemi, który wabił mnie swoim zapachem. Odkąd mój przyjaciel zranił się w lesie, wpadając w pułapkę zastawioną przez kłusowników, unikałem takich przypadkowych niespodzianek. Niestety na skutek mojej nieuwagi wpadłem w dziurę, która była celowo zakryta. Po paru godzinach, kiedy już straciłem nadzieję na ratunek, z pułapki wyciągnął mnie kłusownik o groźnym wyrazie twarzy. Włożył mnie do metalowej klatki. Pomyślałem wtedy po ludzku: „Wpadłem z deszczu pod rynnę”. Nieraz przecież słyszałem, jak ludzie używają takich określeń.

Myśliwy – kłusownik, który mnie złapał, zabijał również inne zwierzęta, o czym przekonałem się, gdy zaniósł mnie do swojego gospodarstwa i umieścił w klatce. Na podłodze leżały wyprawione skóry zwierząt, a na ścianach wisiały trofea „leśne”. Byłem bardzo wystraszony, ponieważ czułem, że może mnie zabić i zostanie ze mnie tylko futro. Kiedy już straciłem nadzieję, stał się cud. Mężczyzna w pośpiechu nie domknął stodoły, w której umieścił mnie wraz z innymi schwytanymi lisami. Niestety podczas ucieczki część zwierząt została zabita. Ja miałem olbrzymie szczęście, ponieważ udało mi się uciec. Lisi spryt nie wszystkim umożliwił ujęcie z życiem.

Po powrocie do lasu opowiedziałem wszystkim moim przyjaciółom o tym, co przytrafiło mi się w dniu, który początkowo wydawał się piękny i radosny. Chociaż na koniec okazał się straszny, to był zarazem bardzo pouczający. Dotarła do mnie smutna prawda, że na świecie są wprawdzie ludzie, którzy bezinteresownie pomagają zwierzętom, ale istnieją także tacy, którzy zabijają je dla pieniędzy i przyjemności. Życie trzeba więc cenić i cieszyć się każdym dniem.

III miejsce
Marcelina Chrzanowska
Szkoła Podstawowa nr 210
im. Bohaterów Pawiaka
Warszawa

Piesek

W dniu, w którym przyszedłem na świat, niebo rozbłyskało wieloma błyskawicami. Już wtedy wiedziałem, mimo swojego małego rozumku, że to jakiś znak... Po burzy zza chmur wyszło słońce, którego ciepłe, wesołe promienie wdzierały się do wnętrza domu przez uchylone okiennice, a zapach letniego deszczu unosił się w każdej części mieszkania. Ale, ale... To nie był tylko zapach deszczu, bo wtulony w sierść swojej mamy najwyraźniej czułem zapach jej nektaru życia – mleka. Z każdym dniem za jego sprawą nabierałem ze swoim rodzeństwem sił. Z czasem wyrosliśmy na piękne, silne psy, rasy labrador.

Szczenięcy okres życia upłynął mi na licznych zabawach, drzemkach i przytulaniu się do mamy. Wykorzystywałem to ile się dało, bo czułem, że kiedyś ten bez troski okres mojego życia bezpowrotnie się skończy. Im więcej upływało

czasu, tym częściej zastanawiałem się, jaka będzie moja przyszłość oraz gdzie i z kim przyjdzie mi spędzić resztę życia. Czulem także, gdzieś głęboko w sercu, że i mojej mamie nie jest to obojętne. Z czasem zrozumiałem, że moje obawy były uzasadnione, bo świat za drzwiami domu, w którym się urodziłem, nie jest tylko piękny, bezpieczny, sprawiedliwy i dobry. Mogłem się o tym przekonać od chwili, kiedy w naszym domu pojawił się tajemniczy mężczyzna. Z rozmowy, którą przeprowadził z gospodynią, wynikało, że poddany zostanie tresurze, aby w przyszłości służyć i pomagać niewidomym ludziom. Na szkolenia przewożony byłem samochodem i właśnie podczas tych eskapad miałem okazję poznać chociaż trochę otaczający mnie świat. Przemierzając się wieloma ulicami, stojąc w korkach, zdałem sobie sprawę, że jestem szczęściarzem! Moje oczy widziały nie tylko szczęśliwe, zadbane psy. Widziałem swoich towarzyszy brodzących podczas ulewy i śniegu w poszukiwaniu choćby maleńkiego kęsa, a także walczących o swój teren i kawałek schronienia. Zawsze będę pamiętał ich smutne oczy, żebrzące o miłość, resztkę jedzenia, ciepło i godność. Głód, choroby, bezdomność, brak miłości dotyka nie tylko zwierzęta. Widziałem w nieco podobnych sytuacjach ludzi. Kloszardów, przed którymi wszyscy uciekają; kalectwo, niedołężność starców i ich przerażającą samotność w zgiełku miasta. Wydali mi się przez chwilę, jakby byli zapomniani, niepotrzebni i bezużyteczni. Pragnąłem w głębi duszy zmienić los wszystkich nieszczęśliwych, ale czulem się bezradny. Na szczęście trwało to krótko, bo dzięki szkoleniu, w którym brałem udział, zrozumiałem, że za sprawą mądrego człowieka, wrażliwego na krzywdę ludzką, wychodzącemu naprzeciw potrzebom chorych ludzi, mogę mieć maleńki, pozytywny wpływ na ich życie.

Celem mojej nauki w Zakładzie Tresury Psów Przewodników było nieść pomoc osobom niewidomym. Uczyłem się chętnie, a wiedza, którą musiałem przyswoić, nie sprawiała mi żadnych problemów. Z każdym dniem bardziej zdawałem sobie sprawę, że po ukończeniu szkolenia moje życie stanie się misją. Zrozumiałem, że będę niósł pomoc i opiekę ludziom niewidomym, że będę miał wpływ na to, aby mogli godnie i bezpiecznie żyć. Czulem szczęście, radość i dumę, że jednak mogę mieć wpływ na otaczającą mnie rzeczywistość. Świadomość, że będę namiastką wzroku mojego nowego właściciela, zrodziła we mnie nowe pragnienie, aby on mógł mnie widzieć, zobaczyć swoim sercem.

I tak też się stało. Czas, jaki ze sobą spędzaliśmy, był naszym sprzymierzeńcem. Otaczaliśmy się wzajemnie wielką troską, przyjaźnią i uczuciem, którego siłę czuć było niemalże w powietrzu. A świadomość, że jestem potrzebny i kochany, pozwala zapomnieć o przeciwnościach losu.

Te wszystkie sytuacje, jakich doświadczyłem, sprawiły, że zacząłem zdawać sobie sprawę, jak wielkie zadanie mają i powinni mieć do spełnienia ludzie. To za ich sprawą, dobrą wolą, pragnieniem szczęścia ludzi i zwierząt można zrobić wiele dobrych uczynków w tym skomplikowanym jak na mój psi rozum świecie.

III miejsce
Maciej Soczyński, klasa Vc
Szkoła Podstawowa nr 210
Warszawa

Reksio

Wabię się Reksio. Jestem rasowym psem i mam to szczęście, że mieszkam w dużym, pięknym domu z ogrodem i basenem. Moi właściciele są zamożnymi ludźmi, którzy prowadzą w mieście największą piekarnię. Mają jedną córkę Magdalenkę, z którą się bardzo lubimy i nie potrafimy bez siebie żyć. Codziennie odprowadzam dziewczynkę do szkoły i czekam na nią pod klasą do końca lekcji. Potem bawimy się w domu lub ogrodzie. Często chodzimy również do lasu, gdzie chowamy się w wielkiej dziupli starego dębu i z ukrycia podglądamy leśne zwierzęta. O tym miejscu wiem tylko ja i Madzia. To jest taka nasza mała tajemnica.

Niestety, rodzice Madzi uważają mnie za wielkiego nieudacznika. Jest mi z tego powodu bardzo przykro, chociaż prawdą jest, że zdarza mi się często tłuc cenne rzeczy, np. porcelanowe naczynia i wazony. Jak to jest w naturze psa, zakopuję również w ogrodzie swoje skarby, czym doprowadzam do wściekłości moich właścicieli. Karcą mnie wtedy za niszczenie ogrodu.

Pewnego razu rodzice Magdy przywieźli z Indii drogocenny, porcelanowy posąg Buddy. Zaprosili znajomych na przyjęcie, żeby pochwalić się nowym nabytkiem. Było dużo ludzi, panował wielki hałas i wszyscy zachwycali się zdobyczą rodziców Magdy. Byliśmy z Madzią trochę znudzeni i postanowiliśmy pójść pobawić się w ogrodzie. Ruszyliśmy więc w kierunku tarasu. Madzia szła przede mną, a w tym samym czasie Pani domu wniosła na tacy gorącą herbatę dla gości. Magda nie zauważyła swojej mamy, bo patrzyła na mnie, żeby sprawdzić, czy idę za nią. Przestraszyłem się wtedy, bo dziewczynka szła wprost na swoją mamę, która niosła parujący na tacy wrzątek. Przeczuwałem wielką tragedię, Madzia mogła zostać poparzona. Skoczyłem więc szybko i łapą odepchnąłem ją na bok. Wystraszona Magda zorientowała się, że dzięki mnie uniknęła nieszczęścia. Ja też byłem z siebie dumny, tyle tylko, że w czasie skoku zahaczyłem ogonem o posąg Buddy, który z wielkim hukiem rozbił się o podłogę. Moi Państwo wpadli w szal i zaczęli na mnie krzyczeć. Było mi strasznie przykro, bo spodziewałem się pochwały za uratowanie dziewczynki, a zostałem skarcony. Nie pomogły też wyjaśnienia Magdy, której kazano iść do swojego pokoju. Po wyjściu gości leżałem rozżalony w kuchni i miałem łzy w oczach. Nie pozwolono mi spać w pokoju mojej pani, która również to przeżywała i całą noc nie spała. Nad ranem, gdy dziewczynka zasnęła, moi właściciele zabrali mnie do samochodu, i, jak się okazało, wywieźli gdzieś daleko poza miasto i zakazali powrotu do domu.

Zostałem sam, serce mi pękało z żalu. Spotkał mnie taki los, a ja przecież całe życie opiekowałem się Madzią i oczywiście domem. Błąkałem się po okolicy, myśląc tylko o dziewczynce, aż w końcu wywęchałem ślad do domu. Po kilku dniach wędrówki, wycieńczony i głodny, dotarłem do miasta. Na przystanku usłyszałem rozmowę dwóch kobiet o moich właścicielach. Wszyscy znali ich w mieście i często o nich rozmawiali.

Okazało się, że ich córka zniknęła z domu. Wyszła tydzień temu szukać swojego Reksia i zaginęła. Podobno całe miasto jej szuka, ale nigdzie jej nie ma, a rodzice są załamani. Bardzo się wystraszyłem, serce jeszcze mocniej zaczęło mi bić. Pomyślałem wtedy o naszym tajemnym miejscu. Nie miałem sił, ale pamiętam, że pędziłem najszybciej jak mogłem. Gdy dotarłem na skraj lasu, od razu wyczułem mój ulubiony zapach Madzi. Cały szczęśliwy pędziłem dalej, przez krzaki, zarośla, nie czując bólu, aż dotarłem do naszego starego dębu. W środku leżała moja Madzia. Byłem szczęśliwy, że ją w końcu zobaczyłem. Magda wyglądała źle, była bardzo blada i wycieńczona. Zacząłem ją lizać po policzkach i zobaczyłem, jak na zmęczonej twarzy lekko podnoszą się kąciki ust. Dziewczynka zaczynała się uśmiechać. Pobiegnę wtedy szybko w kierunku domu. W ogrodzie zobaczyłem płaczących rodziców Magdy. Zacząłem szczekać, podskakiwać i merdać ogonem. Państwo byli chyba zdziwieni moim widokiem, ale wyczułem, że się ucieszyli. Zacząłem biec w kierunku lasu. Moi właściciele zrozumieli i pobiegli za mną. Dotarliśmy do dębu, gdzie leżała Magda. Pamiętam, jaka była radość rodziców, kiedy ją zobaczyli. Znowu płakali, ale tym razem ze szczęścia.

Wycieńczoną Madzię zabrano do szpitala, gdzie cały czas siedziałem przy jej łóżku. Na szczęście szybko wróciła do zdrowia, a lekarze oznajmili, że to ja jestem dla niej najlepszym lekarstwem.

Po kilku dniach wszyscy szczęśliwi wróciliśmy do domu. Rodzice Magdy bardzo się zmienili. Zrozumieli chyba, że postąpili źle. Zwierzęta, tak jak i ludzie, mają swoje uczucia, potrafią być wrażliwe i łatwo je skrzywdzić. Zostałem bohaterem, nie tylko w rodzinie, ale i w całym mieście. Na moją cześć rodzice Madzi zaczęli wypiekać pierniki z moją podobizną, zwane potocznie „reksikami”, które z czasem stały się atrakcją nawet dla turystów. Jestem teraz sławnym psem, ale nie to jest dla mnie najważniejsze. Liczy się szczęście ludzi i codzienny uśmiech na twarzy mojej Madzi.

Wyróżnienie

Maja Dulowska , klasa VI

Zespół Szkół nr 60

To ja Sawyer

Słodko spałem na swoim legowisku i śniłem wspaniały sen. Biegłem przez łąki za czerwona piłką; już ją prawie miałem, kiedy obudził mnie dzwonek do drzwi.

To na pewno moja pani - Maja. Tak, to ona! Hura! Nareszcie wróciła! Jupi! Przyniosę jej moją zabawkę. Zobacz! Zobacz jaka ładna! Ojej! Ojej! Ogon! Cały czas się macha! Nie mogę się opanować! Strasznie się cieszę! Nareszcie przyszała! A to znaczy... spacer!

Wychodzimy z domu. Schodzimy po schodach - oczywiście ja pierwszy. Nagle słyszę „noga”. Wiem, że muszę się słuchać, ale wszystko jest takie fascynujące. Maja powtarza „noga” troszkę groźniejszym tonem. No dobra, tym

razem posłucham. Wyszliśmy z bloku i idziemy na łąkę. Nie mogę się doczekać, kiedy spuści mnie ze smyczy. Nareszcie! Czuję się wolny! Chce mi się biegać! Maja wyciąga z kieszeni piłkę. Przybiegam jak najszybciej! Jest szansa, że mi ją rzuci! Dobiegłem! Daj! Daj! No i rzuciła. Zacząłem ją gonić. Była coraz bliżej, bliżej... i mam ją! Zawróciłem i położyłem pani pod nogi. Rzuciła jeszcze kilka razy, aż przestałem aportować, ponieważ zobaczyłem błoto. Ale fajne! Jak śmierdzi! Super! Ale jestem brudny! Już nie jestem biszkoptowym labradorem! Jestem kropkowanym labradorem! Dalmatyńczykiem! Jeszcze trochę się potarzam i jestem owczarkiem niemieckim! Maja chyba nie jest taka szczęśliwa jak ja. Wracamy do domu. O nie! Tylko nie kąpiel! Ratunku! Pomocy! Ona chce mnie wykąpać! Uciezka się nie udała. Szkoda! Ale ten szampon śmierdzi! Okropnie! Maja uważa, że pachnie. Zdechły kret to dopiero pachnie! Oj tak, to jest zapach! A ten szampon?! Ona kompletnie nie zna się na zapachach!

Czysty czekam na kolację. Co to będzie? Może tuńczyk? A może kurczak? Niech to będzie kurczak! No nie, znowu chrupki! Na szczęście te dobre. Teraz Maja je kolację. Może coś dostanę w ramach deseru? Muszę tylko zrobić słodką minę. Dobra, skup się! Brwi trochę do góry, uszy do tyłu, głowa trochę w lewo. To zawsze działa. I po chwili wcinam kawałek kurczaka. Potem sjeść. Leżę w legowisku. Nagle widzę, jak Maja przynosi coś w rękach. Przyglądam się. Niestety muszę wstać, żeby się dowiedzieć co to. Pani opuszcza to na podłogę. Już wiem, co to jest. Mówią na to zółw czy żółw. Bardzo dziwne. To wygląda jak twarda piłka z nogami, głową i ogonkiem. I nie trzeba jej rzucać. Chodzi bardzo wolno, ale chodzi, i nie jest czerwona jak moja, tylko zielono-brązowa. Oczywiście, że muszę to obwąchać, ale słyszę „zostaw”. Ale chociaż troszeczkę! Proszę! Maja powtarza „zostaw”. Kładę się naprzeciwko, obserwuję. Ale po chwili Maja zabiera go z powrotem do szklanego pudełka. Nie wytrzymałbym w czymś takim.

Potem oboje wskakujemy do łóżka. Maja mnie głaszcze, a ja jestem w siódmym niebie. Bardzo kocham swoją panią i zawsze będę ją kochać. Jest mi tu dobrze. Zasypiam. Śni mi się, że biegnę za czerwoną piłką przez łąki...

Wyróżnienie
Sonia Stępień, klasa VIB
Szkoła Podstawowa nr 203
Warszawa

Kim jestem?

Raz, dwa, trzy....siedemdziesiąt cztery, siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć... sto osiemdziesiąt siedem, sto osiemdziesiąt osiem, sto osiemdziesiąt dziewięć stopni, stop! Koniec! Jestem zmęczony, spocony. Chce mi się pić.

Zaraz, zaraz, ale czy ja mam co pić? Tak, jest woda, ale ciepła. Jest ciepło, bardzo ciepło. To oni tak robią. Dwunodzy. Ludzie. Coś potrafią uczynić, że nawet gdy na zewnątrz jest śnieg (takie białe, zimne coś), to tu wewnątrz jest gorąco. Jestem wtedy cały mokry i bardzo spragniony, a woda jest ciepła, br.

Oni są bardzo interesujący. Najlepsza jest ta „Mała”, z taką jasną sierścią na głowie zawiązaną tak, jakby miała dwa ogonki. To ona zwykle bawi się ze mną.

Bierze mnie na ręce, głaszcze, coś tam mówi, śmieje się. Lubię ją. To ona zabiera mnie na zewnątrz. Wtedy jest pięknie. Mogę zobaczyć niebo, słońce, pohasać na zielonej trawie (jak ona pięknie pachnie). Świeże powietrze. To jest to, co lubię. Niestety czasami, gdy „Mała” bawi się ze mną wewnątrz, to brudzę im podłogę. Wtedy przychodzi ta „Średnia”, z kólkami na oczach i krzyczy, ale później sprząta. „Mała” krzywi się, coś tam do mnie mówi i zostawia obrażona. Aż do następnego razu.

Ten „Największy” dwunogi nie interesuje się mną wcale. Jakby w ogóle mnie nie było. Jak można mnie tak traktować. Jestem oburzony, ale on ma takie długie wąsy. Dłuższe niż moje, więc jednak jestem mu winny szacunek. Niech tam będzie, ponoć to on płaci za moje jedzonko.

No tak, ale ja jestem chyba głodny. Coś mi burczy w brzuszku. Gdzie jest jedzonko? Zawsze to „Średnia” daje mi jeść. Czasami jest czerwone. Uwielbiam to jest kruche, soczyste i smaczne. Kiedy dają do jedzenia takie żółte ziarenka, to już gorzej. One są twarde i suche, ale jednak pożywne. Czasami mam na obiad takie zielone. To nie znaczy, że jest zepsute. Nawet mi to smakuje, ale nie można się tym najeść. Dzisiaj jeszcze nie dostałem nic nowego do jedzenia, zostało z wczoraj czerwone. Trudno, może później dostanę jakiś smakołyk.

Lubię po posiłku pospacerować trochę. Niestety nie mam tu zbyt dużo miejsca. Niedaleko jest żelazny plot z grubych krat i nie mogę go przejść. Tylko dwunodzy potrafią otworzyć furtkę. Mimo to i tak jest sporo miejsca, aby urządzić sobie spacer. Ten zapach drewna z podłoża powoduje, że czuję się tak, jakbym był w lesie. Jestem trochę leniwy, więc nie biegam zbyt dużo. Teraz najchętniej bym się zdrzemnął. Mam tu swój domek. Taką małą budkę z pachnącym siankiem w środku. Korci mnie, aby się tam ułożyć.

Nagle stało się tak jasno, jakby zapaliło się słońce, które widziałem na zewnątrz. Słyszę jakiś hałas. To przyszła „Mała”. Chyba będzie zabawa. Zawsze kiedy wraca, zabiera mnie na świeże powietrze. Tylko czemu ona jest taka mokra. Wciera sobie te swoje ogonki na głowie z wody. Wiem, słyszałem o tym. Na zewnątrz pada deszcz, taka woda w kroplach leci z góry. Ze spaceru nici, ale się nie martwię. Nie lubię mieć mokrego futerka. To nic, pewnie weźmie mnie na ręce i będzie głaskać. Ale co to? Nawet na mnie nie spojrzała. Wyjmuje z torby jakieś papiery i siada przy stole. Niedobrze, jak tak robi, to w ogóle się mną nie interesuje. Chyba muszą to być ważne sprawy, skoro zapomina o swoim pupilu. Mam nadzieję, że gdy wróci „Średnia”, to nie zacznie robić tego samego i nie zostanie bez jedzenia, bo „Największy” na pewno mnie nie nakarmi.

No cóż, trzeba się zająć sobą samemu. Wracam do swoich schodków. To moja największa rozrywka. Jeden, dwa, trzy, ...siedemdziesiąt cztery, siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć, ...sto osiemdziesiąt siedem, sto osiemdziesiąt osiem, sto osiemdziesiąt dziewięć. Trochę głupio tak biegać bez sensu w tym kole, ale cóż - tak wygląda moja zabawa. W końcu jestem tylko... chomikiem.

Agata Karczmarczyk, klasa VIa
Szkoła Podstawowa nr 203
Warszawa

O psie Brutusie

Nazywam się Brutus. Jestem młodym psem. Chciałbym opowiedzieć swoją przykrą, ale ciekawą historię.

Urodziłem się na wsi i razem z mamą mieszkaliśmy u pewnej rodziny. Byli to przemili ludzie, do których co weekend przyjeżdżały wnuczki – dwie bliźniaczki, które lubiły się ze mną bawić. Często rzucały mi patyk lub drapały mnie za uchem.

Pewnego dnia, jak zwykle, wstałem rano. Podszedł do mnie mój pan i powiedział:

- Pożegnaj się z mamą psinko!

Nie rozumiałem, czemu miałem to zrobić. Wziął mnie na smycz i zaprowadził w stronę bramy. Ujrzałem dwoje ludzi – kobietę i mężczyznę. Weszło się uśmiechali. Mój pan klęknął obok mnie i ucałował w pyszczek. Następnie włożył smycz w dłoń mężczyzny. W zamian za to ten dał mu pieniądze. Wtedy zrozumiałem, że mój pan mnie sprzedał. Nie wiedziałem, co mnie czeka. Wyruszyliśmy w drogę. Po jakimś czasie byliśmy na miejscu. Ujrzałem ogromny dom z przepięknym ogrodem, ale nigdzie nie było budy – pięknej i drewnianej, takiej, jaką zrobił mi mój pan, u którego wcześniej mieszkalem. Czy to znaczy, że będę mieszkać z nimi? Chyba tak. Weszliśmy do środka. Troszkę posmutniałem, bo nie mieli żadnych dzieci. Ale zaraz uśmiech powrócił na mój pyszczek, bo pan powiedział, że będę prezentem dla ich córeczki Małgosi. Okazało się, że dziewczynka pojechała do babci, ponieważ złamała nogę. Rodzice musieli chodzić do pracy, a nie chcieli, żeby była w domu sama. Tak więc musiałem czekać, by ją zobaczyć.

W domu u państwa Markowskich, czyli u moich nowych właścicieli, czułem się świetnie. Codziennie dostawałem pyszne jedzenie, a moja miska zawsze była pełna świeżej wody.

Pewnego dnia w naszym domu zadzwonił telefon. Odebrała pani Markowska. Okazało się, że to lekarz Małgosi. Dziewczynka wracała do zdrowia i doktor powiedział, że może mieć zdjęty gips. To znaczy, że niedługo się spotkamy! Usłyszałem, że jutro odbędzie się cały zabieg, a zaraz po nim Małgosia przyjedzie do domu. Ma dużo szczęścia, bo akurat nazajutrz jest Wigilia.

Minęła noc. Spałem dobrze. Wyszedłem ze swojego ciepłego legowiska i poszedłem do kuchni. Nikogo w niej nie było. Później zajrzałem do salonu, ale tam też nikogo nie zastałem. Następnie odwiedziłem jeszcze inne pokoje oraz łazienkę, ale tam także nie było żywej duszy. W końcu sobie przypomniałem: przecież Małgosia ma dziś zdejmowany gips! Ułożyłem się na moim posłaniu i spałem dalej.

Obudził mnie dźwięk otwieranych drzwi. Wiedziałem, że nie mogę wyjść z pokoju, żeby dziewczynka mnie nie zobaczyła. Miałem dużo jedzenia, picia i zabawek, więc było mi dobrze i mogłem spokojnie sobie drzemać.

Nadszedł ten czas. Choinka była przystrojona, na stole stała piękna zastawa z chińskiej porcelany. Do gabinetu pana Markowskiego, w którym

siedziałem cały dzień, weszła jego żona. W rękę trzymała pudełko i wstążki. Włożyła mnie do pudełka. Zrobiła w nim dziurki, żebym mógł oddychać, a następnie zawiązała wstążeczką. Potem postawiła mnie pod ogromną choinką. Obok mnie stały też inne prezenty, kolorowe i piękne. Pani Markowska wróciła do pokoju, w którym odbywała się kolacja wigilijna.

Minęło kilka minut i z pokoju usłyszałem:

- Gosiu, święty Mikołaj był u ciebie!

Wtedy zobaczyłem drobną dziewczynkę, z włosami związanymi różową wstążeczką. Otworzyła kilka prezentów, a potem ten, którego zawartością byłem ja. Gdy tylko mnie ujrzała, zaczęła całować rodziców i skakać ze szczęścia. Biegałem dookoła i się cieszyłem.

Przez pierwsze kilka tygodni było wspaniale. Bawiliśmy się. Gosia rzucała mi patyk, a ja za nią biegałem. Wtedy przypomniałem sobie czas, kiedy mieszkałem na farmie. Tęskniłem za moją mamą, ale też byłem szczęśliwy, że mam tak wspaniałą nową rodzinę. Mijały tygodnie, miesiące, lata. Po jakimś czasie dziewczynka przestała się ze mną bawić. Nie chodziliśmy razem na spacer. Czasem byłem nawet głodny.

Któregoś dnia przyszedł pan Markowski. Trzymał w rękach pudełko, do którego mnie włożył. Następnie wrzucił je do bagażnika samochodu. Jechaliśmy długo. Później góra od pudełka się otworzyła. Mój pan powiedział:

- Żegnaj piesku.

I wtedy ostatni raz go widziałem. Postawił moje pudełko na ulicy. Górna część była otwarta, więc wyjrzałem na ulicę. Padał deszcz. Zastanawiałem się, kiedy po mnie wróci. Mijały godziny, a w pobliżu nie było nikogo. Było mi zimno. Otuliłem się ogonem i zacząłem cicho piszczeć. Zasnąłem.

Następnego dnia obudziłem się w tym samym miejscu. Było ciepło i słonecznie. Wychyliłem głowę. Na ulicy zauważyłem mężczyznę. Wybiegłem z kartonu nasiąkniętego wodą. Podbiegłem do niego, a on po prostu mnie kopnął. Nie wiedziałem dlaczego. Uciekłem od niego, kiedy zaczął machać na mnie ręką.

Poszedłem do pobliskiego parku. Położyłem się pod drzewkiem i zasnąłem. Po jakimś czasie obudziłem się. Było ciemno i zimno. Wszędzie mokro, jeszcze po deszczu, który padał w nocy. Kilka metrów ode mnie stał duży buldog. Podeszedłem do niego, a on zawarczał i zaczął mnie gonić. Biegliśmy i biegliśmy. Po drodze potykałem się i kilka razy zahaczyłem łapką o wystający korzeń. Krew leciała mi z nogi. Po długim dystansie, który musiałem przebiec, zgubiłem tego psa. Znowu zaczął kapać deszcz. Usiadłem pod rynną jakiegoś domu. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Chciałem tylko zaznać miłości, żeby czasem ktoś mnie przytulił. Wówczas z domu, pod którym siedziałem, wyszła staruszka. Wynosiła śmieci. Dostrzegła mnie i szybko podeszła. Wzięła mnie na rękę. Powiedziała:

- Co tu robisz małeństwo? Ktoś cię zostawił? Krzawi ci łapka! Wejdzmy do domu, tu się ogrzejesz, dam ci jeść, a później założę opatrunek.

Z tą kobietą zostałem już na zawsze. Ona dała mi najwięcej miłości i szacunku. Chciałbym, żeby wszystkie psy miały takich wspaniałych właścicieli i żeby nigdy nikt ich źle nie traktował, tylko zawsze dawał im miłość i ciepło.

Natalia Laskowska , klasa VIa
Szkoła Podstawowa 210
Warszawa

Blisko śmierci

Przeszłam długą drogę, o której trudno mi jest opowiadać. Mam nadzieję, że może kiedyś ludzie zrozumieją, że zwierzęta potrzebują przynajmniej odrobiny szacunku.

Było strasznie ciemno. Siedziałam z podkulonym ogonem i łapami. Nie wiedziałam, gdzie się znajduję.

- Przepraszam, jest tu ktoś? - spytałam niepewnie.
- Tak - usłyszałam sześć głosów.
- Gdzie jestem? - zapytałam.
- W klatce - odezwał się pies leżący najbliżej mnie.
- A dokładnie? - spytałam, oczekując dokładniejszej odpowiedzi.
- W jakiejś przyczepie - odpowiedział smutno.
- A ile nas jest?
- W klatce z dziesięcioro, a w przyczepie ze sto; może mniej, może więcej.

Aż trudno mi było uwierzyć, że jest nas tu tak dużo. Zastanawiałam się, jak tu trafiłam.

Pamiętam, że biegłam przed znaną mi restauracją. Ludzie, którzy ją prowadzili, rzucali nam resztki po klientach. Tylko w weekendy musiałam sobie sama radzić. Pamiętam, że jadłam, gdy nagle podeszła do mnie chmara dzieci. Chyba trzylatki. Klepały mnie po plecach. Przytulały się. Mimo że robiły to dosyć mocno, podobało mi się. Od bardzo dawna nie zaznałam miłości, a szczególnie od dzieci. Potem odeszły, machając mi radośnie na do widzenia. Usłyszałam kroki. Pomyślałam sobie, że to pewnie dzieci albo właściciel lokalu. Szybko się odwróciłam. Moje oczy dostrzegły dwóch wysokich panów. Nie byli nastawieni przyjaźnie. Jeden z nich trzymał sieć, a drugi kij do gry w baseball. Gdy w końcu otrząsnęłam się i rzuciłam do ucieczki, było już za późno. Jeden z mężczyzn złapał mnie za kark i siłą wrzucił do sieci. Próbowałam się szamotać. Myślałam, że zerwę sieć. Niestety, odczułam znacznie większy ból. Kij, który widziałam w rękach jednego z mężczyzn, został wycelowany w moją głowę. Uderzenie było silne. Straciłam przytomność. I tak tu trafiłam. Dopiero teraz to sobie przypominam.

Nagle samochód zatrzymał się. Otworzyły się drzwi i zobaczyłam swoich oprawców. Zdziwiłam się, że taka liczba zwierząt - psów i kotów - mieści się w ciasnych klatkach. W drzwiach samochodu zobaczyłam, jak wszystkie klatki były rzucały na beton. Samochód był duży, taki, jakim przewozi się meble, więc ból przy tym był prawie nie do zniesienia. Wrzucono nas do większego auta. Niestety było gorzej. Przy mocniejszym hamowaniu objaliśmy się o ściany samochodu

i wzajemnie o klatki. Grzbiet wbijał mi się w małą kratkę, co sprawiało mi wielkie cierpienie, bo jazda była długa. Samochód zatrzymał się na jakimś pustkowiu. Auto ponownie zostało otwarte, tylko że miało inne wyjście. Światło dzienne oślepiło mnie. Do środka weszły dwie osoby. Klatki były podawane hurtowo. Słyszałam jęki, które dochodziły z zewnątrz. Zaczęłam się bać.

Mężczyźni wyciągnęli moją klatkę na zewnątrz i z trzymetrowego dachu ciężarówki z zimną krwią zostałam rzucona na beton. Ci ludzie traktowali nas jak przedmioty, ale my czujemy! Żyjemy! Nie wiem, czym zasłużyliśmy sobie na takie traktowanie. Złapali nas na ulicy, wywieźli nie wiadomo gdzie i się śmieją. Upadek na ziemię był bolesny. Byłam poobijana, obolała i przerażona. Tak naprawdę było mi już obojętne, co ze mną zrobią. Chciałam spokojnie czekać na śmierć i w spokoju odejść. To nie był koniec mojej drogi. Klatka została zaciągnięta pod jakiś pomarańczowy kontener. Szepnęłam:

- Dokąd nas wiozą?

-Na śmierć -odpowiedział szary pies leżący po drugiej stronie klatki.

Już nic nie odpowiedziałam; leżałam i czekałam. Bałam się końca mojej drogi. Byłam przekonana, że nie wrócę już pod restaurację, nie zobaczę miłych dzieci, nie pobiegam po polu tak jak dawniej. Gdy dotarłam do celu, zobaczyłam zielony kontener. Nie wiedziałam, co było w środku. Po otworzeniu naszej klatki zostałam siłą wyciągnięta jako pierwsza. Dwóch mężczyzn mnie trzymało. Pierwszy za tylne łapy, a drugi za przednie. Nie miałam siły stawiać oporu. Zobaczyłam nóż w ręce mężczyzny. Pomyślałam, że to już koniec. W oczach tych ludzi widziałam nienawiść. Nawet nie poczułam, jak kawałek skóry na mojej łapie został nacięty. Tyle już przesłam, że nie czułam bólu.

Tak jak chciałam, spokojnie czekałam na śmierć. Nagle mężczyzna trzymający mnie za przednie łapy krzyknął:

-Nie bierzemy tego psa!

-Czemu? Na czapkę się nada - spokojnie odpowiedział drugi.

-Nie. Linieje, czapka będzie okropna, ma brzydkie kolor - odparł z obrzydzeniem.

-To co teraz zrobię z tym psem?

Na te słowa mężczyzna trzymający mnie za tylne łapy zamachnął się i wyrzucił na stertę tragicznie zamordowanych zwierząt, które straciły tu skórę. W pewnym sensie byłam uratowana, ale to, co przeżyłam, zostanie na zawsze w moim sercu.

Teraz tylko mogę zamknąć oczy i czekać, co będzie dalej. Nie wiem, czym sobie na to wszystko zasłużyłam. Nie wiedziałam, że człowiek jest zdolny do takiego bestialstwa, a ja od życia chciałam zaznać tylko odrobinę miłości...

Irmina Kulmacz
Szkoła Podstawowa nr 210
Warszawa

O kotku Klarze

Mam na imię Klara. Jestem kotką małej Ady, która od niedawna jest moją właścicielką. Wcześniej należałam do pana Zbigniewa Jabłczyńskiego. Opowiem wam prawdziwą historię z mojego życia.

Pewnego dnia państwo Jabłczyńscy przygarnęli kotkę (moją mamę). Po jakimś czasie przyszłam na świat. Tuż po urodzeniu byłam niesfornym kociakiem. Pewnego razu podczas zabawy podrapałam nową sofę pana

Zbigniewa. Mój właściciel bardzo się zdenerwował. Chwyił mnie za kark, wrzucił do swojego samochodu i ruszył. Po trzydziestu minutach jazdy otworzył okno auta, wyrzucił mnie i odjechał. Nie wiedziałam, gdzie jestem, bo do oczu powpadały mi duże, ostre paprochy, więc chyba straciłam wzrok. Poczułam zapach śmierci. Po omacku poszłam przed siebie. Wiele razy wpadałam na mury i słupy. Pomyślałam, że zatrzymam się i chwilę odpocznę. Nagle usłyszałam przeraźliwe szczekanie. Zorientowałam się, że otoczyły mnie duże, groźne psy. Nie wiedziałam co robić i jak się bronić, ponieważ byłam niewidoma. Na szczęście usłyszałam szczęk otwierających się drzwi. Jak się potem dowiedziałam, z klatki schodowej wychodziła pani Jolanta ze swoją córką Adą.

- Mamo, popatrz! – usłyszałam. - Kotek!

Pani Jolanta przez chwilę ze zdumieniem przyglądała się sytuacji. Widziała zaatakowanego przez duże psy kota, który nie bardzo umiał sobie poradzić. Dziwiła się, że nie schowałam się pod samochodem stojącym w pobliżu. Nie wiedziała, że nic nie widzę. Ada natychmiast rzuciła mi się na ratunek. Wrażliwa dziewczynka wzięła mnie na ręce i mimo rozpaczliwych krzyków matki, aby nie zbliżała się do psów, razem ze mną uciekła.

Byłam Adzie tak wdzięczna, że aż się rozmruczałam; nie wrywałam się i nie drapałam. Mocno się do niej przytuliłam. Pani Jolanta zobaczyła, że jestem ślepa, i pozwoliła Adzie mnie przygarnąć.

Od tamtej pory wiodę wspaniałą życie. Mam nadzieję, że wszyscy zrozumieli całą historię i nikt nie pozwoli skrzywdzić żadnego zwierzęcia.

Zofia Pojmańska, klasa VIc
Szkoła Podstawowa nr 29
Warszawa

Pan Sowa

Witam! Mówią na mnie Sowa, oficjalnie Pan Sowa. Jestem kotem. Oryginalnym, bo w końcu kot, który powłóczy za sobą tylnymi łapami, to niecodzienność, co? Może opowiem wszystko od początku.

Pewnego dnia, gdy spacerowałem sobie po osiedlu, popełniłem karygodny błąd. Przed przejściem przez ulicę, nie rozejrzałem się. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Biegłem. Nagle jakby ktoś dzielił mnie cegłą w głowę. Otrząsnąłem się. Zobaczyłem szybko odjeżdżające porsche. W lusterku dostrzegłem kierowcę. Nawet się nie zatrzymał. Rozmawiał przez telefon.

Coś dziwnego działo się z moimi nogami. Drętwienie. Doczołgałem się do domu. I tu zaskoczenie - nikt nie otwiera!

Miau!

Nadal nic.

Skonany usnąłem.

Obudziłem się nazajutrz. Moja pani jak zwykle o ósmej wyszła do pracy. Przeszła koło mnie, jakby mnie nie zauważyła. Miauczenie nic nie dało. To samo powtórzyło się podczas jej powrotu. W końcu uświadomiłem sobie coś strasznego: nie chcą mnie tutaj, po prostu mnie nie chcą!

Przez kilka następnych tygodni wyjadałem jedzenie ze śmietników i czułgałem się na przednich łapach. Na szczęście nic mnie nie bolało.

Zaczęła się mroźna zima. Czasami przemarzałem do szpiku kości. Któregoś wieczoru, wyjątkowo mroźnego i wietrznego, czołgałem się właśnie pod drzewo, gdzie było cieplej. Gdy wyszedłem zza zasy, zobaczyłem ją. Siedziała na ławce w długim płaszczu z bardzo okazałym brzuchem. Spostrzegła mnie. Dowlokłem się do niej. Ona niepewnie wzięła mnie na ręce i zawinęła w sweter. Zadzwoiła do kogoś:

- Marcin, jestem na rogu Pięknej i Miłosnej. Znalazłam rannego kota – powiedziała do słuchawki.

Po piętnastu minutach przyjechał samochód. Kobieta wsiadła do auta, mówiąc:

- Musimy znaleźć jakąś przychodnię. Robi się późno, pospieszmy się!

- Jak go znalazłaś? Kochanie, a dziecko... Jesteś za lekko ubrana...

- Potem ci opowiem. Jest przemarznięty. Jedź!

Zasnąłem. Obudziło mnie ostre, jasne światło. Weterynarz. Tak ze mną źle? Nic mi nie jest, bez przesady.

Moja wybawczyni zaczęła rozmawiać z lekarzem.

- Droga pani, nie wiem, czy jest pani gotowa na takie wydatki na leczenie tego zwierzęcia? - zaczął łagodnie.

- Tak! - odparła stanowczo moja pani. - Choćby to kosztowało mnie miliony, tak!

Przez następne kilka godzin przenoszono mnie z sali do sali. Robiono zdjęcia rentgenowskie, dawano zastrzyki.

- Pani Kasiu, ten kot ma przetrącony kręgosłup, brak czucia w tylnej części ciała...

- Czy to go boli? - przerwała Kasia.

- Nie... - odparł zrezygnowany doktor.

Aha... Czyli dlatego nie czuję bólu, dlatego nie mogę normalnie chodzić. Umęczony przygodami dnia usnąłem.

Następnego dnia zacząłem jeść i pić. Wieczorem Marcin i jego żona wzięli mnie do domu. Spotkała mnie tam przyjemna niespodzianka. Gdy wszedłem do salonu, zobaczyłem leżącą na sofie kotkę.

- Sowo, oto Greta.

- Masz na imię Sowa? - zapytała rozśmieszona kotka.

- Eeee... no... tak - odparłem speszony.

- Co ci się stało? - zapytała Greta, patrząc na moje bezwładne nogi.

- Potrącił mnie samochód. Przez kilka tygodni błąkałem się po ulicach, ale Kasia mnie uratowała.

- Cała ona... Chodź, nasypali nam jedzenia - mówiąc to, zeskoczyła z sofy.

Myślałem, że pobiegnie do kuchni, ale nie. Ona na mnie czekała! Gdy czołgałem się do kuchni, dotrzymywała mi kroku.

Teraz odwiedzam lekarza codziennie. Zaczęliśmy jeździć do innych przychodni. Moi opiekunowie są coraz bardziej przygnębieni. Przecież nic mi nie jest! Muszę tylko nosić te śmieszne pieluchy, bo nie mogę normalnie korzystać z kuwety.

Chyba jest lepiej. Kasia śmieje się serdecznie, patrząc, jak gonię za sznurkiem z Gretą. Nauczyłem się też wdrapywać na fotel.

Tego ranka obudziłem się o świcie. Podczołgałem się do ogrodu. Drzewa zieleńiły się drobnymi listeczkami. Szyby pokryte wczesnowiosennym szronem. Wszystko skąpane było w jasnożółtym świetle. Mógłbym zostać tu do końca życia.

Nagle trzasnęły drzwi. Dowlokłem się szybko do Grety, która siedziała w przedpokoju.

- Co się dzieje? - zapytałem zaniepokojony.

- Dziecko się rodzi. Jadą do szpitala.

Niestety, gdy syn Marcina i Kasi wrócił do domu, zaczął strasznie kaszleć. Na początku nie znali przyczyny. Potem okazało się, że to uczulenie. Co gorsza - na koty. Musieli nas oddać, a ja nie chciałem opuszczać Grety.

Kocham ją. Ona jako jedyna nie śmiała się ze mnie. Była jak moja przewodniczka po nowym świecie. Wieczorem wtuliłem się w jej mięciutkie, czarne futerko.

- Nie chcę się z tobą rozstawać - szepnąłem.

- Ja też... - mruknęła, mocniej się do mnie tuląc.

Nazajutrz rano Greta wyjechała. Kasia i Marcin próbują znaleźć mi dom. Przeprowadzają właśnie rozmowę z Iwoną. Ona chce mnie wziąć. Albo ona, albo zostanę uśpiony. Ale ja chcę żyć...

**Basia Borowska, klasa VIb
Szkoła Podstawowa nr 211
Warszawa**

Nowy Dom

Jestem psem, nazywam się Diana. Pewnego deszczowego dnia ja i mój pan o imieniu Adam siedzieliśmy wygodnie na kanapie i oglądaliśmy serial w telewizji. Adam co chwilę głaskał mnie po grzbiecie i po brzuchu. Byłam bardzo szczęśliwa. Czulałam wtedy, że on naprawdę mnie kocha. Jeszcze nie tak dawno przygarnął mnie ze schroniska i od tamtej pory byłam jego ulubienicą. Pan miał również papugę o imieniu Gaduła oraz świnkę morską Alberta. Widać było jednak, że kogoś mu brakuje. Chodził smutny i zamyślony, zwierzaki to nie to samo co obecność drugiego człowieka.

Jakieś dwa tygodnie później Adam i ja poszliśmy na targ. Niestety musiał mi założyć smycz, ale wiedziałam, że to konieczne. Nagle - już do końca życia nie zapomnę tej chwili - poznał ją: Agatę. Od razu wpadli sobie w oko. Mój pan był dobrze wychowany, więc pomógł jej nieść zakupy. Potem poszli na kawę. I tak to się zaczęło. Spotykali się regularnie. Chodzili do kina i do restauracji na kolacje. Właściwie to się cieszyłam, bo od tamtej pory Adam był bardzo radosny i szczęśliwy. Po jakimś czasie zamieszkali ze sobą i wszystko było dobrze. Do czasu.

Agata zawładnęła moim panem. Gdy mówiła, żeby wyrzucił śmieci, robił to biegiem. Gdy prosiła, żeby pojechał po zakupy, też to robił z ochotą. Poza Agatą nie widział świata, ale nie to było najgorsze - Agata nie znosiła psów. Pod nieobecność Adama głodziła mnie, a nawet znęcała się nade mną. Byłam taka bezbronna i przestraszona, przecież nie mogłam jej tak po prostu ugryźć, bo kazałaby mnie wyrzucić z domu.

Pewnego dnia nie wytrzymałam i zrobiłam to: wbiłam zęby w jej rękę. Poskarżyła się Adamowi. Wykrzyczała, że jestem niebezpieczna, i kazała mnie wyrzucić z domu, a mój pan się zgodził. Nie mogłam uwierzyć, że robi to bez wahania. Wcześniej tak mnie kochał, a teraz bezkrytycznie poddaje się woli kobiety, zapominając o naszej przyjaźni.

Byłam rozgoryczona, zawiedziona i smutna. Zbliżała się zima, było bardzo zimno. Przez jakiś tydzień błąkałam się po lesie mokra, przemarznięta i wyziębiona. Czułam strach, ból, zmęczenie i rozpacz. Nie wiedziałam co robić i gdzie iść. Zmęczona usnęłam gdzieś pod krzakiem.

Obudziłam się już w zupełnie innym miejscu. Leżałam przy ciepłym kominku na dywanie. Z początku myślałam, że to sen, ale to była prawda.

Przygarnęła mnie do siebie wspaniała rodzina z dziećmi, która spacerując po lesie, znalazła mnie skuloną pod krzakiem maliny. Wszyscy bardzo mnie pokochali - oczywiście z wzajemnością. Znowu poczułam się kochana i szczęśliwa. Moje rany szybko się zagoiły. Zapomniałam o swojej ciężkiej przeszłości, zaczęłam myśleć pozytywnie. Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiła dla mnie rodzina, która mnie przyjęła pod swój dach. Od tego szczęśliwego dnia ponownie zaczęłam ufać ludziom, a świat na nowo przybrał wszystkie kolory tęczy.

Józef Jakacki
Szkoła Podstawowa nr 203
Warszawa

Byłem w cyrku

Mam na imię Jogi i jestem niedźwiedziem. Jutro muszę iść do nieba – to znaczy na śmierć, ponieważ nie nadaję się do cyrku... Kończąc swoje nędzne życie, pragnąłbym jeszcze je opisać.

Moja świętej pamięci mama została ukamienowana przez ludzi, tatę zaś zastrzelili dla rozrywki myśliwi.

Zacznijmy jednak moją opowieść od początku. Urodziłem się w ciepłej gawrze, pod ogromną górą. Żyłem tam jakieś kilka miesięcy. Któregoś dnia okazało się, że straciłem na zawsze swego ojca – został zabity w trakcie polowania. Wkrótce zamordowano również mamę, bo była zbyt groźna – a ona sprawiała tylko takie wrażenie, gdyż ogromnie bała się o mnie. Po śmierci rodziców szybko zostałem schwytany i wysłany do cyrku. Droga do niego była straszna. Głodny, osierocony szedłem przez polankę, gdy nieoczekiwanie poczułem lekkie ukłucie w karku... Niczego więcej już nie pamiętam...

Kiedy ocknąłem się, bardzo bolał mnie kręgosłup. Przyczyną cierpienia było długie leżenie na czymś twardym. Nadal musiałem trwać w tej męce uwięziony w klatce. Wokół były inne, także nieszczęśliwe, zwierzęta: lew, konie, słonie, małpka. Dowiedziałem się, że przeznaczeni jesteśmy do pracy w cyrku.

Zaprzyjaźniwszy się z towarzyszami niedoli, poznałem ich los. Najbardziej przejmująca była opowieść lwa, który jako małe dziecko miał cudne życie. Rodzice kochali go, miał brata i kolegów. Szczęście trwało wiele lat, aż całą rodzinę wzięto do zoo. Musiały pomieścić się w jednej klatce: cztery potężne lwy!!!! Później kupił je od zoo kierownik cyrku.

Po męczącej podróży dotarliśmy do wielkiego namiotu. Wokół niego stało wiele klatek. Nie dano nam nawet marnej kolacji. Następnego dnia o świcie obudziły nas gniewne krzyki mężczyźn. Zabrano mnie do wielkiej hali, gdzie już znajdowały się inne zwierzęta. Kazano mi stać na metalowej tafli. Patrzyłem na straszne męki słonia. Chciał spać. Aby go rozbudzić, kluto go ostrymi hakami. Lwa, który nie chciał efektywnie ryczeć, mobilizowano elektryczną dzidą. Nagle poczułem w łapach piekący ból. Coraz mocniejszy. Chcąc go uniknąć, próbowałem podnieść przednie łapy. Prawie mi się udało. Zobaczyłem człowieka, który śmiał się, gdy naciskał guzik włączający ogrzewanie płyty metalu pode mną. „Trening” ten kończył się po minucie, by za moment znowu mógł się powtórzyć. Grafiki każdego dnia były niestety niezmiennymi.

Pewnego dnia zorientowałem się, że przeznaczono mnie do czegoś innego – nie wiedziałem jednak, do czego. Następnego dnia grupa ludzi stała przed namiotem. Wepchnięto mnie do niego.

Wewnątrz również było mnóstwo osób. Patrzyły na mnie w napięciu. Stwierdziłem, że trzeba robić to, czego mnie w trakcie tortur nauczono: chodzić na dwóch łapach. Po przedstawieniu, gdy widzowie się rozeszli, widziałem, jak zastrzelono słonia, gdyż złamał nogę.

Po kilku występach uznano, że jestem za mało atrakcyjny. Gdy minie noc, umrę z Aslanem – lwem, którego poznałem w cyrku.

Oto moja historia. Dziękuję, że zechcieliście ją poznać. Żegnajcie...

Justyna Gruszka, klasa IVa
Szkoła Podstawowa nr 210
Warszawa

Ringo

Cześć!

Zanim opowiem wam moją historię, pozwólcie, że się przedstawię.

Jestem psem, wabię się Ringo, mieszkam na wsi. Wściecie zapewne, że psy żyją około 20 lat. Nie wiem, czy ja tyłu dożyję. Codziennie tęsknię za moją młodszą siostrą, braćmi i rodzicami. Ich portret noszę od dzieciństwa w moim sercu.

Na początku żyłem samotnie, trudno mi było zdobywać pożywienie. Byłem słaby i bezbronny. Musiałem uważać na inne psy, które nie pozwalały mi się zbliżyć do domów mieszkalnych. Cóż, taki jest psi los.

Pewnego dnia ruszyłem przed siebie, tak jak to robią wszystkie bezpańskie psy. Dotarłem na osiedle domów jednorodzinnych. Zobaczyłem na podwórzu suczkę, która karmiła swoje szczenięta. Przypomniałem sobie o swojej rodzinie. Postanowiłem ją odnaleźć. Zacząłem poszukiwania. Włóczyłem się już kilka godzin, zaglądałem do różnych domów. Nigdzie ani śladu. Zauważyłem, że powoli się ściemnia. Położyłem się przy małej drewnianej chatce i zasnąłem.

Następnego dnia wstałem i ruszyłem dalej. Ten dzień wspominam z wielkim żalem i bólem. Gdy szedłem, zauważyłem dwóch małych chłopców bawiących się w parku. Jeden z chłopców podszedł do mnie i zaczął mnie bić, szarpać i rzucać we mnie kamieniami. Bardzo mnie to bolało. Cały czas myślałem,

co ja mu zrobiłem. No, taki już jest los małego psa. Trudno - szedłem dalej, obolały, spragniony i rozżalony. Tak wielka była chęć odnalezienia mojej rodziny: rodziców, siostr i braci. Byłem pewien, że ich odnajdę. Wcześniej miałem wiele marzeń, ale to stało się dla mnie najważniejsze. Jestem niezwykłym psem, dlatego odnalezienie rodziny jest tak dla mnie ważne.

Gdy tak rozmyślałem, w pobliżu zauważyłem pewien dom. Przed bramą stała kobieta, która zwabiła mnie apetycznym kawałkiem kiełbasy. Byłem bardzo głodny. Kilka dni włóczyłem się po ulicach. Wszedłem do środka. W domu, na podwórzu, w garażu, w kojcach było mnóstwo psów. Przyglądałem się im bardzo dokładnie. Nagle zauważyłem w oddali moich braci i siostry. Poznali mnie. Mamy takie same znamiona na łapach. Przywitani mnie bardzo serdecznie, ale w ich oczach nie widziałem radości. Cieszyłem się, że ich odnalazłem. Kobieta, która zwabiła mnie tutaj, podeszła do mnie i uwiązała mi na szyi łańcuch. Nigdy wcześniej nie miałem nic na szyi. Było mi niewygodnie, szarpałem się. Łańcuch się plątał. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Uspokoilem się. Zacząłem się rozglądać. Na podwórku były również inne zwierzęta: koty, kozy, świnię i dwa konie. Każde z tych zwierząt cierpiało na swój sposób. Widziałem to w ich oczach. Oczywiście potrafią bardzo dużo powiedzieć. Już po kilku dniach zorientowałem się, w jak beznadziejnej znalazłem się sytuacji. Kobieta kolekcjonowała zwierzęta. Nie dbała o żadne z nas. Raz na jakiś czas wystawiała trzy, może cztery miski z wodą. Ja oczywiście do żadnej nie dosięgałem. Mój łańcuch był splątany. Trudno było wytrzymać, zwłaszcza w upalne dni. Mijały miesiące. Skończyła się jesień. Nastąpiła zima, mroźne dni. Noce były nie do zniesienia. Skulony pod drzewem, czułem, jak zamarzam.

Pewnego dnia przyjechała straż miejska. Gdy zobaczyli, co się dzieje, wezwali pomoc. Przyjechało mnóstwo samochodów i zabrano wszystkie zwierzęta. Ocknąłem się w przytulnym i ciepłym schronisku. Przede mną stała miska z wodą i jakaś karma. Jadłem i piłem tak łapczywie, że bracia zwrócili mi uwagę. Opowiedzieli mi, że od kilku dni byłem pod stałą opieką weterynarzy, którzy walczyli o moje życie. Och, jak dobrze, że są na świecie jeszcze tacy wrażliwi i dobrzy ludzie. Byłem razem z moją psią rodziną w schronisku. Upływały dni. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Do naszego schroniska zaczęło przychodzić trochę więcej ludzi. Brali różne psy. Moi bracia i siostry wytłumaczyli mi, że gdybym też został zaadoptowany przez jakąś rodzinę, to byłoby mi tam jeszcze lepiej niż tu w schronisku. Opowiadali dobre rzeczy. Zaprzagnąłem mieć taką ludzką rodzinę. Pewnego dnia zjawiała się para młodych ludzi. Spojrzeli na mnie. Patrzyli mi w oczy przez dłuższy czas:

- *To ten pies!* – powiedziała kobieta – *Spójrz w jego oczy, są takie mądre i przepełnione miłością.*

- *Myślisz, że spodoba się naszym dzieciom?* – pytał mężczyzna.

- *Tak. Weźmy go. Jest bardzo wdzięczny i taki łagodny.*

- *Dobrze.*

Wsadzono mnie do pudła z dziurami, obwiązano czerwoną kokardą. Po co? Czy to cyrk? Nie! Okazało się, że byłem prezentem gwiazdkowym dla dwójki małych dzieci. Jak one się cieszyły, gdy wyskoczyłem z pudełka. Co za radość. Trudno to opisać. I tak znalazłem się w ludzkiej rodzinie. Mam prawdziwy dom, nie cierpię, czuję się potrzebny. Wiem, że to jest moja nowa rodzina, którą kocham szczerze i wiernie będę im służył do końca mych dni.

Kinga Brzeźnicka, klasa VIa
Szkoła Podstawowa nr 203
Warszawa

Świat oczami małpy

Jestem gorylem. Chciałbym opowiedzieć o moim dość interesującym życiu. Mam nadzieję, że was nie zanudzę.

Nazywam się Franek, mieszkam w zoo we Wrocławiu. Tak jak inne zwierzęta jestem zamknięty w dużej, metalowej klatce. Jej przestrzeń pozwala mi na różne zabawy, ale i tak często nudzę się w niej. Kilka dni temu wprowadziły się do mnie jakieś znajome małpy. Zaprzyjaźniłyśmy się. Codziennie ze sobą rozmawiamy. Denerwujemy się, kiedy ludzie naśmiewają się z nas. Rzucamy wtedy w nich sianem, wśród którego zapodzieją się czasem nasze odchody, ale nie przejmujemy się tym. Nie lubimy dyrektorki zoo, ponieważ ostatnio podsłuchaliśmy jej rozmowę o tym, że nie zmieni nam pożywienia. Nie smakuje nam wiele potraw, którymi nas karmi. Wstrętne są te ogryzki po jabłkach! My to byśmy chcieli dostać do jedzenia dużą ilość żółtych, dojrzałych bananów. Jesteśmy również bardzo ciekawe, jak smakują melony, ananasy, mango czy też daktyle. Podobno to dobre owoce. Pewnie nigdy ich nie posmakujemy, chyba że uciekniemy i będziemy zdane tylko na siebie. Niestety ludzie nie rozumieją naszej mowy. Ale my doskonale wiemy, o czym oni rozmawiają. Zazwyczaj są to nieważne tematy, typu: „Co robimy w weekend?”. Moim zdaniem powinni więcej myśleć o nas, ponieważ też jesteśmy istotami żyjącymi, wiele pojmujemy i czujemy tak jak inni, np. ludzie, koty, psy albo ryby. Nasze dni w zoo nie są zbyt ciekawe. Człowiek ma lepiej niż my. Je, co chce i kiedy chce, z picciem jest tak samo, nie dostaje codziennie zwykłej wody. Często, gdy ludzie zwiedzają zoo, mają w rękę kolorowy kubełek, w którym są białe – żółte kulki do jedzenia. Kiedyś trochę nam sypnęli tego i muszę powiedzieć, iż jest to naprawdę pyszne. Blisko nas mieszka hipopotamica o imieniu Carla. Jest bardzo duża, wręcz ogromna. Nie chciałbym obrażać jej, ale powinna trochę schudnąć. Na początku bałem się jej, ale później okazała się miłym zwierzęciem. Pamiętajcie, że nie wolno oceniać książki po okładce. Podobno ludzie często naśmiewają się z jej wielkości. To musi być bolesne. Niestety nie będziemy długo koło niej mieszkać, gdyż mają przenieść nas do innej klatki. Słyszałem, że ma rezydować koło lwa, króla zwierząt. Na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki.

A skoro mowa o gęsiach, to jeszcze nigdy ich nie widziałem. Ale naszemu przyjacielowi tygrysowi, który mieszka po drugiej stronie parku, śniły się kiedyś. Mówił, że są białe i przypominają malutkie łabędzie. Może to i prawda. Ja ostatnio miałem sen o wielkich słońiach biegnących przez całe miasto, które demolowały wszystko, co stało im na drodze. Obudziłem się wtedy z krzykiem.

Czasami wyobrażam sobie, jak by to było, mieszkać na wolności. Takie życie byłoby dla mnie niebezpieczne. Najwięcej wolnego czasu spędzam na obmyślaniu planu, w jaki sposób pokazać ludziom, że źle nas traktują i co czujemy. Przez szereg długich dni jeszcze niczego nie wymyśliłem, ale prędzej czy później wpadnę na jakiś genialny pomysł.

To koniec mojej historii, gdyż muszę zająć się planami ratowania zoo. Jeżeli chcecie, możecie mi pomóc, będę bardzo wdzięczny

Klaudia Koper, klasa VI
Zespół Szkół nr 60
Warszawa

Pimpek

Wabię się Pimpek. Jestem dalmatyńczykiem. Chciałbym opowiedzieć o swoim ciężkim i smutnym losie.

Urodziłem się w rodzinie wielodzietnej. Miałem pięcioro rodzeństwa – trzy siostry i dwóch braci. Wspólnie z mamą mieszkaliśmy u Pana, który zajmował się hodowlą rasowych psów. Taty nigdy nie poznałem. Z opowieści mamy wiem tylko tyle, że miał rodowód i zdobywał wiele medali na międzynarodowych wystawach rasowych zwierząt.

Początkowo wiodłem miłe i dostatnie życie. Większość czasu spędzałem na figlach i zabawach ze swoim rodzeństwem. Mieliśmy wygodną i ciepłą budę oraz smaczne posiłki. Przez cały ten okres byliśmy otoczeni opieką i troską. Czuliśmy się bezpiecznie i pewnie. Z radością i ciekawością oczekiwaliśmy kolejnych nadchodzących dni.

Po miesiacu takiego beztroskiego życia nadszedł straszny dzień. Mój Pan sprzedał mnie na aukcji internetowej. Zostałem wyrwany spod opieki mamy i z towarzystwa rodzeństwa. Trafiłem do innych ludzi. Było mi bardzo ciężko, ponieważ nie mogłem zrozumieć, dlaczego pozbawiono mnie moich najbliższych i kazano mi żyć wśród obcych. Z czasem jednak zacząłem się przyzwyczajać do zupełnie nowych warunków. Zamieszkałem w bloku, w trzypokojowym mieszkaniu, w czteroosobowej rodzinie z dwójką dzieci w wieku 10 i 8 lat. Były to dziewczynki, które bardzo mnie polubiły. Opiekowały się mną, karmiły, wychodziły na spacer, bardzo często głośno głaskały, tuliły i przytulały. Pieszczoły te oraz poczucie bezpieczeństwa pozwoliły mi przetrwać najtrudniejsze chwile po utracie najbliższych. Przez kilka miesięcy żyło mi się dostatnio i wygodnie. Pokochałem swoją nową rodzinę. Dni upływały mi miło i przyjemnie. Stawałem się coraz większy, piękniejszy i silniejszy. Po prostu dorastałem.

Nagle jak „grom z jasnego nieba” dotarła do mnie wiadomość. Moi Państwo wyjeżdżają na wycieczkę zagraniczną i nie wiedzą co ze mną zrobić. Początkowo myślałem, że oddadzą mnie na czas podróży pod opiekę znajomych. Jednak bardzo się pomyliłem. Ze względu na to, że byłem dużym psem, z bardzo dużym apetytem oraz bojowym nastawieniem, nikt nie chciał mnie przygarnąć i zapewnić mi opieki. Moi Państwo postąpili haniebnie i bezdusznie. Po prostu wywieźli mnie do lasu i wypuścili na „wolność”. Nie mogłem pojąć, jak kochająca mnie rodzina mogła potraktować mnie w ten sposób. Z przerażeniem błąkałem się po lesie, starałem się odnaleźć drogę do domu. Po kilku dniach tułaczki wychudzony, głodny i brudny dotarłem w okolice leśniczówki. Myślałem, że moja udręka dobiegła końca, lecz znowu bardzo się pomyliłem. Leśniczy, widząc bezpańskiego psa, złapał mnie i oddał do schroniska.

Trafiłem do schroniska w Celestynowie. Jak się okazało, jest to największa psiarnia w Europie. Mimo życzliwej i milej obsługi personelu panują tam straszne warunki.

Obecnie w schronisku przebywa 1700 psów, którymi zajmuje się zaledwie 18 osób. Dopiero tutaj uświadomiłem sobie, jak okrutni i bezwzględni dla swoich

pupili potrafią być ludzie. Wiele psów zostało pobitych i okaleczonych przez swoich panów. Często były głodzone, maltretowane, trzymane na łańcuchu bez wody i pokarmu. Do wyżywienia takiej ilości psów potrzeba dziennie 700 kg mięsa i kości. Niestety środki finansowe, jakimi dysponuje schronisko, są niewystarczające. Przez bezdusność urzędników z każdym dniem schronisko ulega degradacji. Od początku swojego istnienia nie było remontowane ani modernizowane. Pogarsza się stan boksów. Teren, na którym mieszkają psy, jest nieutwardzony. Ciągłe brakuje pieniędzy na wyżywienie i lekarstwa, przez co psy muszą walczyć ze sobą o każdy kęs jedzenia. W związku z zaistniałą sytuacją planuje się wypisać schronisko z rejestru podmiotów nadzorowanych.

Dlatego też apeluję do ludzi dobrej woli oraz urzędników, których serce czule jest na krzywdę i niedolę zwierząt: pomóżcie nam, psom, oraz schronisku w Celestynowie, w którym zostaliśmy zmuszeni do egzystencji. Nie pozwólcie, aby schronisko zostało zamknięte, a nas uspio. Każdy datek przekazany na rzecz naszego schroniska zostanie właściwie wykorzystany i zapewni nam bardziej znośny los oraz da zielone światełko nadziei na dalszy godny psi żywot. Największym marzeniem każdego psa jest to, że zostanie przygarnięty przez pana o dobrym sercu, który zapewni mu właściwy byt, dom, ciepło i opieką rodzinną i nie potraktuje nas jak zbędną, nikomu niepotrzebną rzecz i nie wyrzuci do lasu lub na ulicę. Za to my odplacimy miłością, wiernością i przywiązaniem.

Krystian Bączek, klasa VIc
Szkoła Podstawowa nr 203
Warszawa

Dzień z życia kota

Spoglądam nerwowo na zegar. Jeszcze chwila! Za moment moi właściciele wyjdą. Co ja wtedy będę robił? O, już zakładają kurtki. Zaraz ich nie będzie. Chrzęst. Brzęk. Drzwi zamknięte.

Nazywam się Błysk. Jestem kotem i mieszkam w pięknej willi. Mam sierść szarawą z domieszką brązowego. Swoje imię zawdzięczam temu, że mój ogon przypomina czarno-biały piorun. Mam klapnięte ucho. Uwielbiałem swój kłębek i chętnie bawiłbym się nim, gdyby nie to, że zniszczyłem go poprzez nadmierną eksploatację.

Budynek, w którym mieszkam, został zbudowany w stylu renesansowym, z wielkim schodami rodem z dzielnic bogatego Rzymu. Okna kształtu półkolistego zdobiły wspaniałą fasadę budowli. Cechuje go strzelistość dachu, który zdobią piękne freski aniołów znajdujących się w otoczeniu samego Boga. Moim właścicielem jest mały chłopczyk, z którym chętnie się bawię. Chciałbym opowiedzieć wam, jak spędzam prawie każdy dzień.

Gdy zostaję sam w domu, zaczynam od wyjścia na podwórko, żeby pooddychać świeżym powietrzem. Nabieram wtedy sił, by podejmować wyzwania zbliżającego się przeznaczenia. Wdycham wszystko pełną pierśią, bo jedynie wtedy jest na tyle ciepło, że mogę cieszyć się powietrzem niezanieczyszczonym przez pojazdy spalinalowe i smog. Przed sobą dostrzegam małą huśtawkę. Z trzech stron otacza ją półkolistą altana. Cała pokryta jest rośliną wytwarzającą wino.

Mur okalają różnokolorowe kwiaty tworzące kilka rzędów. W oddali można zobaczyć mini plac zabaw z piaskownicą i zjeżdżalnią, na który mój właściciel zaprasza swoich przyjaciół. Często chodzę też na krótkie wycieczki, bo nie jest dla mnie problemem pokonanie dwumetrowego muru. Spotykam się z innymi kotami z sąsiedztwa i razem udajemy się do pobliskiego parku. Malowniczość tego miejsca zachwyca mnie i pragnę spędzać tam jak najwięcej czasu. Trawa wydaje mi się tam wyjątkowo zielona i bujna, taka jak nigdzie indziej. Zawsze na wiosnę dostrzegam tam różnorodność motyli i kwiatów, których wszędzie jest pełno. Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy po powrocie do domu, dotyczy kuwety. Tej samej, co zawsze, która nigdy się nie zmienia. Ze zmęczenia nie mam nawet siły na wykonywanie skomplikowanych czynności, więc od razu udaję się na ulubione miejsce wypoczynku - łóżko mojego pana Kuby.

Chłopiec jest dość wysoki jak na swój wiek i dosyć dobrze zbudowany. Jego czupryna ma jaskrawy kolor – rudy. Oczy mojego pana są brązowo-czarne. Nosi kolorowe bluzki, a każdego dnia zakłada różnego koloru dzinsy.

Po przebudzeniu czuję apetyt na mokrą karmę, najlepiej od Gourmeta. Nie wiem czemu, ale zawsze po niej mam ochotę na drzemkę na dworze pod altaną porośniętą winoroślą. Ze snu przepelnionego kotami wybudził mnie kolejny chrzęst i brzęk. W jednej chwili pojawiłem się w drzwiach, żeby powitać nadchodzących. Czekam wyrozumiale na mojego pana, aż skończy odrabiać lekcje. Z ekscytacją oczekuję tej chwili. Czuję się tak, jakby dzieliła mnie od niej cała wieczność. Zdenerwowany tym, nerwowo kłapię szczęką, i on, widząc moje zniecierpliwienie, przyspiesza odrabianie zadań. Powoli udajemy się do jego pokoju. W centralnej jego części leży zestaw samochodowy, którym bawił się z kolegami. W lewym kącie stoi łóżko, a obok niego moje czarno-zielone legowisko. Po prawej stronie umiejscowiony jest zestaw meblowy z IKEI. Na ścianie wymalowano dinozaury i samochody.

Zaczęliśmy z panem bawić się w kotka i myszkę. On ciągle krzyczał: „widzę cię”. Strasznie mnie to denerwowało, jak zwykle, więc chciałem się schować. Wtedy wyłączył światło i pokazywał mi plamki latareczki na ścianach. Od niechcenia gonilem blask, żeby uszczęśliwić dzieciaka, ale po dłuższej chwili ta zabawa stała się nudna. Wtedy rzucił mi piłeczkę tenisową, którą turlałem do niego. Zbliżał się czas kolacji. Szybko zbiegliśmy na dół. Oczywiście ja byłem pierwszy. Do miski chłopca wylałem mi Kitekata o smaku wątróbki i powiedział mi tak:

- Błysk! Kolacja.

Jak strzała wpadłem do kuchni. Z zapalem zjadłem swoje jedzonko. Kolacja rodziny nadal trwała. Wszyscy mówili, jak minął im dzień, co robili i gdzie byli. Jak zwykle najwięcej mówił Kuba, który dostał A+ za pracę na lekcji, za aktywność i za znajomość tematu. Dostojnym krokiem wszedłem pod stół i zacząłem ocierać się o nogi. Potem udałem się do kuwety. Niestety nie była sprzątnięta. Żałośnie miauczałem, i chyba zrozumieli, bo po chwili mama Kuby wstała i udała się do łazienki. Po jakimś czasie założyła buty i wyszła do śmietnika wyrzucić zawartość. Szybko poszedłem do toalety. Po załatwieniu się zajrzałem do pokoju mojego pana. Widząc, że przygotowuje się do snu, ułożyłem się na łóżku tak, żeby jego stopy się ogrzały. Gdy już byłem pewien, że śpi, poszedłem do jego rodziców. Chciałem, aby mnie pogłaskali. Rozmarzyłem się, wpadłem w zachwyty i odpląnałem w otchłań myśli. Zmęczony poszedłem do swojego legowiska.

Wygodnie ulokowałem się i w jednej chwili zasnąłem. Śniło mi się, że do mojego właściciela przyjechała jego mała kuzynka, która ciągnęła mnie i tarmosiła za ogon. Przestraszył mnie ten sen, bo czasem moje sny naprawdę się spełniają.

Obudziłem się następnego ranka wraz z moim panem. Znow zaczął się kolejny dzień. Czekałem ze zniecierpliwieniem, czy może przyniesie mi coś ciekawszego. Mimo że życie kota jest monotonne, cieszę się, że mam dom i rodzinę, która się o mnie troszczy. Nie każdy kot ma takie szczęście.

Michał Kowalczyk, klasa VIb
Zespół Szkół nr 60
Warszawa

Kilka dni z życia kota

Jestem kot Wilson. Urodziłem się 17 lipca 2009 roku w Warszawie. Moją panią jest Marta Kowalczyk. Kiedy nie ma jej w domu, piszę pamiętnik, ale nie zawsze mogę, bo czasem ktoś jest, więc nie jestem na bieżąco. Mimo to przeczytam wam kawałek:

24.08.2009

W tym oto dniu Marta wybrała się po mnie. Moi poprzedni właściciele mieli się gdzieś z nią spotkać. Kiedy już przybyliśmy na miejsce, oddali mnie, mój kocyk i zabawkę. Jak nowa pani mnie zaniósła do nowego domu, od razu dałem jej się we znaki. Mianowicie kiedy Marta zasnęła, po kilku minutach wszedłem za piec. Jak się obudziła, próbowała mnie wyciągnąć. Po chwili usłyszałem całą rodzinę. Wychodząc, dotknąłem czegoś kulistego. Okazało się, że to piłka z dzwonkiem w środku. Bawiąc się nią, poczułem czyjąś rękę na grzbiecie, po czym wyciągnięto mnie, a potem piłkę.

10.09.2009

W końcu pozwolili mi wyjść z pokoju mojej pani do przedpokoju. Wszystko mnie ciekawiło, szczególnie drzwi do drugiego pokoju i kuchni. Tego samego dnia wynieśli mi kuwetę do łazienki.

15.09.2009

Rodzina Marty postawiła w drzwiach bardzo wysoki karton. Myśleli pewnie, że go nie przeskoczę. Ale się pomylili. Oczywiście, że mi się udało. Kiedy to zrobiłem, wszyscy się zdziwili.

10.10.2009

Nie rozumiem tych ludzi! Kiedy oni coś zrzucą to mówią, że nic nie szkodzi, ale kiedy ja coś przewrócę, to jest wielka afera! Na przykład wczoraj zrzuciłem z parapetu doniczkę. Moja pani krzyknęła: „Co ty zrobiłeś!” i wyrzuciła mnie z pokoju. Potem poszła po mojego wroga – odkurzacz – i wciągnęła nim wysypaną ziemię, a kwiatek postawiła na parapet.

5.11.2009

Dzisiaj do mojej pani przyszło kilka osób. Korzystając z okazji, wszedłem przez otwarte drzwi. Na szczęście nikt mnie nie zauważył. Najpierw poszedłem na górę, potem zszedłem na dół i czekałem, aż ktoś mi otworzy. Sądzę, że mnie szukali, bo Marta nie była zdziwiona, jak otworzyła drzwi, by mnie wpuścić.

22.12.2009

Wszyscy sprząтали, odkurzali i wycierali kurze. Szykowali się jak na jakiś święto. Pakowali rzeczy w papier i kupili duże, ładnie pachnące drzewko, a przecież nie mam urodzin. Bardzo lubię przyglądać się błyszczącym kulkom na drzewku. A jak się kołyszą...

24.12.2009

W tym dniu wszyscy zasiedli do stołu, dużo jedli, śpiewali, a potem rozpakowywali kolorowe paczki. Ja też dostałem pudełko, w którym znalazłem smakołyki i myszkę do zabawy.

1.01.2010

O północy słyszałem jakiś hałas. Wskoczyłem na parapet i moim pięknym oczom ukazały się wielkie, kolorowe ognie.

14.02.2010

Około trzeciej w nocy moja pani wyrzuciła mnie z pokoju, bo się źle zachowywałem. Nie wiem dlaczego to zrobiła, przecież skakanie z szafy na jej brzuch to świetna zabawa.

10.03.2010

Kolega mojej pani obudził mnie, gdy miałem przepiękny sen o nowym, wielkim opakowaniu karmy, po czym poszedł ze mną do drugiego pokoju. Kiedy byliśmy przy oknie, zostałem postawiony na parapecie. Obróciłem się i nagle zobaczyłem czarnego, dużego ptaka. Usiadłem, najeżyłem się i patrzyłem na niego. Sądziłem, że jest tylko jeden, ale się myliłem. Zauważyłem jeszcze dwa takie same ptaki - pewnie to byli jego rodzice. Jeden siedział na gałęzi drzewa, a drugi latał dookoła. Ten najmniejszy ptak patrzył się na mnie ze zdziwieniem w oczach. W pewnym momencie poruszył się, a ja razem z nim. Pokazałem mu swoje pazury. Ptak się przeraził i wreszcie odleciał. To była moja zasługa.

4.04.2010

Ach ci ludzie! Moja pani ze swoim bratem zamknęły mnie w łazience. Za karę, bo rozrabiałem. Miauczałem, żeby mnie wypuścili, ale to nic nie dało. Skoro nie chcieli mnie wypuścić, postanowiłem wejść na ciepły piecyk. Po paru minutach Marta otworzyła drzwi i zobaczyła mnie leżącego na piecyku. Krzyknęła: „Co ty tam robisz?!”. Zabrała mnie i wyniosła do pokoju. A mnie tam było tak przyjemnie.

Jeżeli podobał się wam fragment mojego pamiętnika, to może wam jeszcze kiedyś poczytam.

Natalia Tyczyńska, klasa Vc
Szkoła Podstawowa Nr 210
Warszawa

Pieski los

Mieszkam z moimi właścicielami w małym domku. Niezbyt dobrze mi się wiedzie, gdyż o byle co jestem karany. Choć chcę dobrze, to młody, wysoki, lecz ciągle o wszystko zły pan nigdy tego nie zauważa. Gdy on idzie, to na wszelki wypadek chowam się do swojej budy, stojącej przy domu. Gdy go nie ma, mogę swobodnie biegać po całym podwórku. Jego żonie to nie przeszkadza.

Pewnej gwiazdzistej nocy leżałem sobie w budzie, a że nic się nie działo, marzyłem o lepszym losie. W pewnym momencie usłyszałem jakiś szmer dochodzący zza siatki. Zerwałem się na nogi i pobiegłem w tamtą stronę. Obserwowałem, cicho warcząc, dwóch podejrzanych typów skradających się do furtki. Ale w momencie, gdy ją uchylili, zacząłem z całej siły szczeakać, aby obudzić domowników. Rwetes, który uczyniłem, wystraszył rabusiów, ale i obudził mojego pana. Rano wstał niewyspany, przez co był bardzo zły. Złapał smycz i zaczął mnie bić. Schowałem ogon pod siebie i uciekłem do budy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego zostałem zbity, przecież broniłem domu swoich właścicieli. Cały dzień leżałem w budzie bardzo zły, gdyż wszystkie kości mnie bolały. Nie zauważyłem, kiedy nastał zmrok, a że noc zapowiadała się bardzo nieciekawie, bo padał deszcz i było zimno, to ułożyłem się wygodnie w budzie i zasnąłem. W środku nocy obudził mnie szmer za siatką, a że po laniu, które otrzymałem, wszystko mnie bolało, przewróciłem się na drugi bok i spałem nadal.

Rankiem obudził mnie krzyk dobiegający z domu. Okazało się, że tej nocy moi właściciele zostali okradzeni. Znów pan zbił mnie smyczą, że dopuściłem do włamania. Teraz już naprawdę nie wiem, czy będę z nim szczęśliwy. Więc wymyśliłem sobie, że ucieknę z domu i poszukam innego właściciela, który będzie mnie kochać. W nocy wymknąłem się z domu i biegłem prosto, przed siebie, żeby być jak najdalej od znieawidzonego właściciela. Nad ranem, bardzo zmęczony, położyłem się przy kapliczce stojącej przy drodze. Tam znalazło mnie jakieś dziecko idące do szkoły. Musiałem kiepsko wyglądać, bo dziewczynka ukłękła przy mnie i, nie zważając na to, że mnie nie zna, zaczęła mnie głaskać. Moje serce mocniej zabiło, polizałem ją po ręce. Wtedy podniosła mnie i zaniósła do swojego domu. Szła bardzo wolno, trochę kulejąc; okazało się, że ma kłopoty z nogą, była już kilka razy operowana. Gdy dotarła do domu, poprosiła mamę, aby opatrzyła moje rany, które zrobiłem sobie podczas ucieczki. Kobieta wzięła mnie z jej rąk, położyła na podłodze w kuchni i od razu przemyła moje rany. Położyła mnie na czystym sienniku i dała jeść. Spokojny i najedzony ułożyłem się wygodnie i zasnąłem. Po powrocie ze szkoły dziewczynka od razu przysłała do mnie, ukłękła przy sienniku i zaczęła mnie delikatnie głaskać. Byłem bardzo szczęśliwy. Dziecko odszukało mamę i bardzo ją prosiło, aby mogło mnie zatrzymać, gdyż mnie bardzo polubiło. Kobieta od razu wyraziła na to zgodę i w ten sposób zamieszkałem z nimi. Bardzo dobrze mi się z nimi mieszało, bawiłem się z dziewczynką, chodziłem do sklepów i na spacer. Wiedziałem, że jestem jej potrzebny. Niestety mój dawny właściciel w całym mieście wywiesił ogłoszenie o moim zaginięciu. Opisał mój wygląd bardzo dokładnie. Prosił, aby znalazca oddał psa na ulicę Wronią 17. Wyznaczył nawet nagrodę dla znalazcy. Dziewczynka, czytając ogłoszenie, domyśliła się, że chodzi tu o mnie. Bardzo nie chciała się za mną rozstać, gdyż mnie pokochała. Wymyśliła, że o ogłoszeniu nie powie swojej mamie. Cieszyłem się, że taką podjęła decyzję, gdyż mogłem z nią jeszcze trochę zostać. Lecz dwa dni później, wieczorem, ktoś zadzwonił do drzwi. Zareagowałem, zacząłem szczeakać. Gdy podbiegłem do nich, poczułem, kto tam stoi, i zacząłem warczeć. Domownicy od razu zorientowali się, że to musi być osoba nieprzyjazna, gdyż nigdy się tak nie zachowywałem. Gdy otworzyli drzwi, stał w nich mój dawny właściciel; od razu mnie poznał. Po długiej rozmowie uzgodnili, że będę mieszkał u mojego dawnego właściciela, a dziewczynka, kiedy będzie chciała, będzie mogła mnie odwiedzać. Bardzo byłem z tego rozwiązania

niezadowolony, ale zrobiłem tak, jak dziewczynka chciała. Dalej było tak jak zawsze. Stwierdziłem, że chyba już nic nie mogę zmienić w swoim życiu. Muszę pogodzić się ze swoim losem.

Czy ktoś może zrozumieć mentalność ludzi? Ja niestety nie potrafię.
Taki jest mój pieski los.

Paweł Bielicki, klasa VIb
Zespół Szkół nr 60
Warszawa

Moja przygoda z Pierzastym Przyjacielem

Nazywam się Timuś. Paweł jest moim właścicielem. Bardzo go lubię, choć czasami dla żartów go gryzę. Paweł chyba lubi, jak to robię, ponieważ wtedy wydaje z siebie dziwne dźwięki, np.: „Auuu...”

W niedzielę wstałem tak jak zwykle po zachodzie słońca. Chciałem napić się z poidelka, ale nie było tam wody. Zdziwiłem się, ponieważ nigdy nie zapominano go uzupełniać. Spragniony poszedłem po świeże pestki słonecznika, które wczoraj zakopałem pod drabinką. Miałem nadzieję, że poprawią mi humor. Zacząłem kopać, jednak ku mojemu zdumieniu pestek tam nie było. Zdenerwowany wszedłem na pięterko mojej klatki i zauważyłem, że drzwiczki na górze są uchylone. Wszyscy w domu zajęci byli swoimi sprawami i nikt nie zauważył, że w klatce nie ma dla mnie pokarmu. Pobiegałem trochę w kołowrotku, ale nikt z domowników nie zwrócił na mnie uwagi. Paweł oczywiście zajęty był grą komputerową. Po godzinie ćwiczeń w kołowrotku nie miałem siły, byłem głodny i spragniony. Poszedłem spać.

Obudziłem się w poniedziałek rano. Kto słyszał, żeby chomiki w nocy spały? Na szczęście miałem już zmienioną wodę i wsypane do miseczki pestki. Po śniadaniu biegałem po klatce i znalazłem ptasie piórko. Byłem bardzo ciekawy, jak ono znalazło się w mojej klatce. Później przypomniałem sobie, że identyczne pióro widziałem w książce Pawła na ilustracji z podpisem: „pióro młodej jaskółki”. Cały dzień nie spałem. O godzinie 20:00 do domu przez uchylone okno wleciał niewielki ptak. W poszukiwaniu pożywienia sfrunął do mojej klatki, wybrał pestki z miseczki i napił się wody. Zauważyłem, że ma uszkodzone skrzydło. Pozwoliłem jaskółce napić się i najeść, było mi jej szkoda. Domyśliłem się, że musiała wypaść z gniazda, gdy była mniejsza.

Od tamtego dnia zawsze wieczorem przylatuje do mnie jaskółka, a ja zostawiam dla niej wodę i pestki. Zastanawiam się tylko, co będzie, gdy nadejdą chłodniejsze dni i Paweł zacznie wieczorem zamykać okno.

Zuzanna Natalia Burkacka, klasa VIa
Szkoła Podstawowa nr 203
Warszawa

Mile wspomnienie

Witam. Wabię się Klementynka. Jestem kundelkiem, pupilkiem ośmioletniej Zosi. Opowiem wam teraz, co wydarzyło się kilka dni temu.

W poniedziałek wstałam bardzo wcześnie. Obudził mnie, jak zwykle przyjaźnie brzęiący, głos mojej małej właścicielki. Zosieńka wyszła ze mną na spacer już o godzinie 7:30. Wspólnie z moją opiekunką przechadzałyśmy się po pobliskim parku, biegałyśmy, a ja szczekałam na znak radości. Później poszłyśmy w stronę niewielkiego kiosku przy Brackiej. Tam moja „pani” kupiła ulubiony przysmak swojego kundelka, czyli okrągłe, żółte i ciepłe trzy „serowe kulki”. Gdy je ujrzałam, od razu stałam się weselsza. Ze smakiem zjadłam wszystkie. Po półgodzinnym spacerze wróciłyśmy do naszego domku. Po przejściu progu zauważyłam, że rodzice Zosi poszli już do pracy, więc zostałyśmy same. Moja mała przyjaciółka położyła się na łóżeczku i zasnęła. Ja w tym czasie, wiedząc, że to mój obowiązek i przyjemność, stanęłam tuż obok pościeli i pilnowałam dziewczynki. Po kilku minutach zauważyłam, że Zosia stała się troszeczkę inna niż zwykle. Jej zazwyczaj różowa twarzyczka zbladła. Dziecko podkurczyło się i zaczęło się delikatnie trząść. Trochę się przestraszyłam, zaczęłam biegać po domu. Nigdy nie widziałam Zosieńki w takim stanie, więc zaniepokoiłam się o nią. Wróciłam do pokoju mojej właścicielki i ujrzałam przerażający widok. Po chwili na całej klatce schodowej rozbrzmiało me głośne szczekanie o pomoc. Nie czekała długo, bo po kilku sekundach z mieszkania numer osiem wyszła znajoma starsza pani, ubrana w długi szary połatany fartuch. Resztkami sił przeszła do naszego lokum i zobaczyła chorą Zosię. Szybko zadzwoniła do rodziców mojej właścicielki, którzy przyjechali po kwadransie. Zabrali bladą dziewczynkę w miejsce, które ludzie nazywają pogotowiem ratunkowym. Przez kilka dni nie widziałam się z Zosieńką. Bałam się o jej zdrowie tak bardzo, że nie mogłam zjeść ani jednej serowej kulki. Po długim czasie nieobecności (wydaje mi się, że trwało to cały wiek) moja mała przyjaciółka wróciła pełna energii do zabawy ze mną.

Odtąd razem z Zosią znów chodzimy na poranne i popołudniowe spacery i jemy dziesiątki serowych kulek, a po przeżyciu wydarzenia, które silnie wstrząsnęło mną oraz moją właścicielką, dowiedziałam się od rodziców mej pani, iż potwierdziło się powiedzenie, że pies to najlepszy przyjaciel człowieka i w każdej sytuacji można na niego liczyć.

Zuzanna Szewczyk, klasa Vs
Zespół Szkół nr 60
Warszawa

O kocie Miła

Cześć, mam na imię Miła i jestem kotem. Mieszkam w dużym mieście, w bloku na czwartym piętrze. Nie wiem dokładnie, przy jakiej ulicy.

Urodziłam się w małym domku na wsi. Było tam dużo różnych zwierząt. Byłam mała i nie mogłam wychodzić na dwór, ale obserwowałam przez okno psy, konie, kozy i inne koty. Nie nudziłam się, gdyż mogłam bawić się ze swoim bratem.

Pewnego dnia przyszła do naszego domu dziewczynka. Chyba bardzo lubiła koty, ponieważ od razu zaczęła się z nami bawić. Pomyślałam, że jest bardzo miła. Podczas kolejnej wizyty po krótkiej zabawie dziewczynka wzięła mnie na ręce i włożyła do czerwonego koszyka. Wyniosła mnie na dwór i wsadziła do samochodu. To było straszne. Całą drogę płakałam. W nowym domu poczułam się nieswojo. Stałam na środku pokoju i wołałam mamę. Dziewczynka głaskała mnie i przytulała. Pewnie wiedziała, że jest mi smutno. Szybko jednak dałam się pocieszyć. Smaczne jedzenie i mleko poprawiły mi humor.

Teraz mam dwa i pół roku. Wyrosłam na piękną i dużą kotkę, przynajmniej tak o mnie mówią. Jestem niezależna i ja rządę w domu. O wszystkim muszę wiedzieć, wszystko sprawdzić, zobaczyć i wywąchać. Lubię mieć wszystkich domowników w jednym pokoju, bo wtedy mogę mieć na nich oko. Nauczyłam ich nawet kociego języka. Gdy miauczę w kuchni, od razu ktoś przychodzi dać mi jeść. Gdy miauczę w przedpokoju, to znaczy, że trzeba mi sprzątnąć w kuwecie. A gdy miauczę w salonie, oznacza to, że jest mi nudno i chcę się bawić. Wszyscy to rozumieją.

Codziennie rano pilnuję, aby wszyscy punktualnie wyszli do szkoły i pracy. Wieczorem doglądam, czy zamknęli drzwi. Wtedy idę spać. Kiedy wracają do domu, witam ich pod drzwiami lub siedząc na szafce. Zawsze czekam na nich z utęsknieniem. Witam ich, głośno miaucząc i ocierając się o nogi. Od razu przypominam im, aby dali mi jeść. Uwielbiam saszetki, puszki, suchą karmę i smaczki. Na dźwięk rozrywanego papierka biegnę z końca pokoju. Wieczorem, kiedy przychodzi pora na spanie, kładę się obok mojej pani, przytulam się do jej twarzy i mruczę.

Takie są dni w tygodniu. W wolne dni, kiedy możemy spać dłużej, budzę się pierwsza i budzę moją panią, bo jest mi nudno. Bawimy się wtedy od rana na podłodze. Lubię udawać polowanie. Skaczę i lekko gryzę. Wszyscy się wtedy śmieją. Gdy, chodząc po domu, Zuzia, moja pani, nie wkłada kapci, podbiegam zniecierpliwiona i gryzę ją w kostki. Może kiedyś nauczę ją nosić kapcie w domu.

W wakacje wyjeżdżamy na działkę. Nie lubię podróżować samochodem. Wkładają mnie wtedy do klatki. Całą drogę miauczę. Ale na miejscu jest wspaniale. Na wsi znajduje się duży dom, zielona trawa, drzewa i wiele kątów do zwiedzania. Mogę tam chodzić na samotne wycieczki i polować. Przyniosłam już jaszczurkę i mysz. To było dla mnie wielkie przeżycie, czułam w sobie krew wojownika. Nie wiem tylko, dlaczego wszyscy wkoło robili wtedy tyle hałasu i odbierali mi moją zdobycz. Pewnie dlatego, abym się nie otruła. Działka jest moim królestwem i nie lubię obcych zwierząt na moim terenie. Już raz popędziłam psa ze swojego podwórka.

Opowiedziałam wam o swoim życiu. Teraz mogę iść spać. Dobranoc.

Malwina Wyszyńska, klasa Vs
Zespół Szkół nr 60
Warszawa

Dobre życie koszatniczki

Mam na imię Ramzes i jestem koszatniczką, a właściwie koszatniczkciem, bo jestem samcem. Mieszkam w pięknej, przestronnej klatce, w której mam duży drewniany domek. Lubię się w nim czasem schować. Mam też kołowrotek do biegania (żebym nie przytył!!! hi, hi, hi...), gałązki do skakania i miseczkę na przysmaki. Dziś moje życie jest bajką, ale początek nie wyglądał tak różowo. Opowiem Wam swoją historię.

Dobrze pamiętam mój pierwszy dzień bez mamy. Któregoś ciepłego poranka, gdy byłem jeszcze malutki i ssałem mleko, nachyliły się nade mną, moimi braćmi i siostrami (miałem sześcioro rodzeństwa) jakieś olbrzymy – niewyraźnie widziałem, ale słyszałem ich dudniące, donośne głosy. Nagle jeden z olbrzymów wyciągnął swoje ogromne łapsko, chwycił mnie i odciągnął od ukochanej mamusi! Krzyczałem, piskałem, ale olbrzym nie zwracał uwagi na moje wołania. Wtedy jeszcze nie zauważyłem, że łapsko, które mnie złapało, było miękkie i ciepłe... i przyjemnie laskotało mój brzuszek. Wtedy byłem zbyt przerażony, aby to zauważyć.

Kiedy znalazłem się w nowym miejscu, byłem tak zmęczony i przerażony, że prawie natychmiast zasnąłem. Gdy się ocknąłem, pochylały się nade mną olbrzymy: dwa duże i dwa zdecydowanie mniejsze. Te duże mówiły do mniejszych: „Marlenka” i „Malwinka”, a te mniejsze do dużych „mamo” i „tato”. Nie wiedziałem, że to moja nowa rodzina. Ciągle miałem nadzieję, że to wszystko to tylko zły sen, że zaraz się obudzę w łapkach swojej mamy, ale to nie był sen.

Z czasem okazało się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Moje olbrzymy szczerzyły zęby, nachylając się nad moją klatką, ale wcale nie po to, by mnie zjeść, a po to, by wziąć mnie na ręce i laskotać mój brzuszek, uszy i grzbiet. Ich ręce były miękkie, ciepłe i delikatne... i już nie wydawały się takie wielkie jak na początku. Żebym nie czuł się taki samotny i opuszczony, moje olbrzymy często mnie przytulały i karmiły ciepłym, słodkim mlekiem, które przypominało mi moją mamę. Zawsze po takim karmieniu zasypiałem, najedzony i spokojny.

Tak mijały kolejne dni. Rosłem i wiedziałem już, że żaden z olbrzymów nie zrobi mi krzywdy. Moja „olbrzymia rodzina” bardzo o mnie dbała. Wszyscy czesali mi futerko, pilnowali, abym miał zawsze czystą wodę do picia i różne smakołyki w miseczce. Poznałem zwyczaje swojej nowej rodziny. Zapamiętałem, że „rodzice chodzą do pracy”, a „dzieci chodzą do szkoły”... Cokolwiek to znaczyło, powodowało, że przez jakiś czas zostawałem w moim domu - klatce sam. Strasznie wtedy tęskniłem za swoją prawdziwą koszatniczkową rodziną, ale już nie dlatego, że było mi tu źle, tylko dlatego, że byłem sam.

Dziś uwielbiam, gdy w domu moich olbrzymów pojawiają się goście! Jestem wtedy w centrum zainteresowania. Wszyscy mnie oglądają, biorą na ręce, głaszczą i przytulają. Uwielbiam te pieszczoty! Aż puszy mi się futerko! Dostaję przy tej okazji więcej przysmaków do miseczki i karmią mnie z ręki moimi ulubionymi ziarenkami słonecznika.

Kolejną atrakcją są nasze wspólne wyjazdy na „wczasy”. Moja rodzina zawsze zabiera mnie ze sobą, kiedy wyjeżdża na dłużej. Dzięki tym wyjazdom poznałem zapach i smak trawy, miękkiego, ciepłego piasku, który przyjemnie grzeje w łapki, i przygrzewające grzbiet promienie słoneczne. Tylko relaks i słodkie lenistwo...

Mam bajeczny domek - klatkę, wyposażony w drabinki do wspinaczki, tunele-labirynty, żebym mógł w nich nurkować, mały basenik, gdyby nasza miała ochotę zamoczenia futerka dla ochłody w upalne dni, i parę innych „wynalazków”, abym się nie nudził, gdy zostaję sam. Z moimi olbrzymami żyje mi się bardzo dobrze. Czasem myślę, że mogliby sprowadzić jakiegoś kolegę - koszatniczkę (albo koleżankę), ale... tak jak teraz też jest fajnie! Największą miłością darzą mnie mniejsze olbrzymy-dzieci. I chociaż robią dużo hałasu i zamieszania, to ja też najbardziej je kocham i jestem z nimi wszystkimi bardzo szczęśliwy. Czego życzyć wszystkim stworzeniom, zabranym kiedyś przez olbrzymy.

Szczęśliwy Ramzes-koszatniczek

Nikola Nguyen, klasa VB
Zespół Szkół nr 60
Warszawa

- Mamo, popatrz, wróbelek!

- Tak, ale nie dotykaj go! Może jest chory! - to były pierwsze słowa, które usłyszałam, gdy obudziłam się na ulicy, otoczona licznymi budynkami. Rozejrzałam się dookoła. Widziałam ludzi znikających we mgle i szare kafle twardego betonu. Nie wiedziałam, gdzie jestem i jak się tu znalazłam, lecz byłam pewna, że muszę wrócić do domu.

Po kilku dniach postanowiłam wyjść z kryjówki – małej dziury w ceglanych kamienicy. Byłam bardzo głodna. Jedyne co zjadłam to skórka chleba, którą widocznie ktoś wyrzucił przez okno. Zauważyłam małą kawiarenkę na rogu ulicy. Podeszłam do stolika. Nagle ku mojemu zaskoczeniu spadło na mnie coś ciężkiego. Usłyszałam śmiech dzieci. Okazało się, że to, od czego tak szybko poderwałam się do lotu, było waflem od lodów. Dziwni są ci ludzie... Gdy upewniłam się, że łobuzy opuściły miejsce przy stole, podreptałam w stronę wafelka. Był pyszny!

Pofrunęłam dalej. Po jakimś czasie zobaczyłam piękne zielone drzewa i śliczne kolorowe kwiaty. Tak, to musiał być mój dom! Szybko pofrunęłam w stronę lasu. Przez głowę przemknęły mi wspomnienia. Moje drzewo, przyjaciele, rodzina – wszystko, co kochałam nad życie. Dlaczego nadal czułam, że są daleko? Ujrzałam to samo miejsce, w którym byłam jeszcze przed minutą, ale coś było nie tak. Zerknęłam znowu na las. Okazało się, że to, co uważałam za dom, było ogromnym plakatem!

Już nie zważałam na nic: ani na swoje zdrowie, ani na swoje życie. Leciłam tam, gdzie niósł mnie wiatr. Straciłam wszelką nadzieję, że kiedykolwiek ujrzę dom.

Wkrótce dotarłam do małej wioski na granicy miasta. Przynajmniej tutaj tutejsza okolica była zielona, a nie bezbarwna i smutna. Zostałam w tym uroczym

zakątku ponad dwa miesiące. Dawno bym umarła z głodu, gdyby nie staruszka karmiąca gęsi. Codziennie dostawałam od niej kilkanaście okruszków chleba. Dzieci biegające po łące były bardzo miłe i czasem podrzucały mi resztki pieczywa. Ponieważ w okolicy było wiele kotów i bardzo pragnęłam wrócić do domu, ruszyłam w dalszą drogę. Pomagały mi sprzyjające wiatry i słoneczna pogoda. Podczas podróży spotykało mnie wiele przygód. Na przykład raz spotkałam jaskółkę, innym razem jastrzębia, przez którego prawie straciłam życie. Uciekałam przed nim chyba dwadzieścia minut! Na szczęście znalazłam norę w ziemi, do której szybko się schowałam. Jastrząb musiał zrezygnować z obiadu. Po upewnieniu się, że mój głodny krewny odleciał szukać innej przekąski, wyszłam ze schronienia. Później spotkałam jeszcze wiele innych ptaków. Skoro widziałam tyle zwierząt, to może niedaleko jest mój ukochany las? Leciłam ile sił w skrzydłach. Prawie mdlałam z głodu i wycieńczenia. Nagle ujrzałam mój dom! Zaraz... A jeśli to kolejny plakat? Skoczyłam na gałąź najbliższego drzewa. Tak, było prawdziwe! Powoli pofrunęłam w stronę pięknej, soczystej zieleni. Poczulałam cudowną woń lasu. No, nie tak cudowną. Czymś pachniało nie tak ładnie, jak to sobie wyobrażałam... Leciłam radośnie, lecz z dziwnym uczuciem strachu. Było tak cicho, tak ponuro! Wtem u mych stóp padł wróbel. Nie zdążył mi nic powiedzieć. Zamknął oczy, kierując ostatnie spojrzenie w moją stronę. Byłam tak zaskoczona, że przez kilka minut nie mogłam się ruszyć. Jednak w końcu musiałam coś zrobić! Popędziłam w stronę dziwnego zapachu, który tkwił i w moim bracie, i w dalszej stronie lasu. Wtem zobaczyłam coś, co zdziwiło mnie najbardziej. Ujrzałam mój dom, mój kochany dom - w płomieniach! Zrozpaczona ruszyłam, by urwać listek. Napelniłam go wodą z kałuży i polałam ogień wszystkim, co do kropelki. Wciąż powtarzałam to samo, chciałam uratować mój dom, dom wszystkich zwierząt, które i tak już nie ujrzą szczęścia. Lecz po długim czasie las doszczętnie spłonął. Wyglądał strasznie. Polamane, spalone drzewa, sucha trawa... z mojego schronienia nic nie zostało. Za wszędzie unoszącym się dymem widniała tylko ludzka sylwetka. Usiadłam na środku pogorzelniska i pytającym wzrokiem spoglądałam w niebo.

Tak kończy się moja historia, historia wróbla, który został z niczym już na zawsze i nigdy nie dowiedział się, co to znaczy mieć rodzinę.

Robert Łopion, klasa VIa

Szkoła Podstawowa nr 210

Warszawa

Nero

Pewnego słonecznego dnia pies Nero leżał w cieniu rozłożystego drzewa. Podbiegło do niego pięcioro szczeniąt. Były bardzo rozbrykane i ciekawe świata.

- Ależ życie jest cudowne-powiedziało jedno z nich.
- Zgadzasz się z tobą-odpowiedziało drugie.

- Może będziecie mieli szczęście i traficie na dobrego opiekuna- powiedział pies Nero.

- O czym pan mówi?

- Opowiem wam, co mi się przydarzyło, kiedy byłem w waszym wieku. To opowieść mówiąca o ludziach, którzy traktowali mnie jak zabawkę, i o ludziach, dla których zwierzęta były prawdziwymi przyjaciółmi.

W wieku dwóch miesięcy zostałem kupiony z hodowli przez młode małżeństwo. Byłem bardzo szczęśliwy. Głaskano mnie, bawiono się ze mną, wychodzono na długie spacerunki. Jednak moje szczęście nie trwało długo. Po jakimś czasie odniosłem wrażenie, że moi opiekunowie znudzili się mną. Moje wątpliwości rozwiąły przygotowania do wyjazdu na wspólne wakacje – a w każdym razie tak mi się wydawało.

W dzień wyjazdu byłem bardzo podekscytowany. Opiekunowie wsadzili mnie do samochodu i zawieźli do dziwnego, ponurego miejsca. Myślałem, że już dotarliśmy na miejsce wypoczynku, ale pomyliłem się. Moja opiekunka wzięła mnie na ręce i zaczęła rozmawiać z jakąś panią. Następnie wrzuciła mnie do klatki, w której były inne psy. Nie wiedziałem, co się dzieje, byłem przestraszony. Mijały dni, a ja nadal miałem nadzieję, że moi opiekunowie przyjadą i zabiorą mnie z tego straszego miejsca. Widziałem również inne psy w przerażającym stanie. Gdy z nimi rozmawiałem, opowiadały straszne historie o swoim losie. Po dwóch miesiącach straciłem nadzieję na powrót do domu; wydawało mi się, że zostanę tu na zawsze.

Kilka kolejnych miesięcy spędzałem na rozmyślaniu o ludziach. Wydawało mi się, że każdy człowiek jest taki sam jak moi poprzedni opiekunowie.

Pewnego dnia do schroniska zaczęła przychodzić starsza pani. Dokarmiła zwierzęta, ale tylko niektóre jej zaufały. Wiele psów, pamiętając zdarzenia z przeszłości, odnosiło się do niej z nieufnością, ja także. Starsza pani przychodziła codziennie. Zawsze stawała przy mojej klatce i patrzyła w moje oczy. Zacząłem się do niej przyzwyczajać, potem nawet ją polubiłem. Cieszyłem się na każdą jej wizytę. Pewnego dnia starsza pani zabrała mnie do małego gospodarstwa. Byłem najszczęśliwszym psem na świecie. Ktoś znów sprawił, że czułem się kochany. Całymi dniami bawiłem się z moją nową opiekunką. Moje życie nabrało wtedy kolorów.

Jednak pewnego dnia moje życie znów zamieniło się w koszmar. Obudziłem się, podbiegłem jak zawsze do łóżka mojej pani. Nie ruszała się. Lizałem ją po twarzy, mając nadzieję, że się obudzi. Jednak to się nie stało. Leżałem obok niej przez kilka dni bez jedzenia. Czuję się strasznie. Pewnego dnia do domu wszedł jakiś mężczyzna, nigdy go nie widziałem. Zabrał moją opiekunkę do samochodu, mimo mojego warczenia. Wyjął klatkę z samochodu i zbliżał się do mnie. Zacząłem uciekać, bojąc się, że ma złe zamiary.

Po krótkim biegu ulżyło mi, uciekłem. Byłem głodny i spragniony, włóczyłem się, szukając jedzenia, jednak, gdy jakiś człowiek podchodził do mnie, uciekałem, czując strach i nieufność. Jednak głód i pragnienie było silniejsze. Szukałem jedzenia w śmietnikach, lecz nie znalazłem nic, czym mógłbym się wystarczająco pożywić. Wygłodzony i wyczerpany ciągłymi poszukiwaniami położyłem się w cieniu jakiegoś drzewa. Leżałem tam już bez sił. Podeszedł do mnie mały chłopiec; nie wiedziałem, co myśleć. Chciałem uciekać, ale moje łapy były już zmęczone. Jednocześnie miałem nadzieję, że da mi jeść i pić, jednak ta

nadzieja była mała; nadal pamiętałem straszne krzywdy wyrządzone mi przez ludzi. Po chwili chłopiec pozostawił mnie samego. Z tą chwilą prysła mała nadzieja w moim psim sercu.

Po jakimś czasie ów chłopiec przybiegł do mnie z jakimś panem. Ten wziął mnie na ręce, wsadził do samochodu i zawiózł do dziwnego miejsca, w którym czułem zapachy wielu psów. Dał mi zastrzyk, po którym ból ustąpił. Dał mi także jeść i pić. Po kilku dniach czułem się coraz lepiej, ale nadal nie ufałem temu człowiekowi, choć zawsze dawał mi pić i jeść i nie zrobił mi jeszcze nic złego. Jakiś czas później zabrał mnie do małego domku nad rzeką. Miał małą córkę, która zawsze rano przed wyjściem do szkoły podchodziła do mojej ogrodzonej budy i patrzyła w moje brązowe oczy; tak samo robiła starsza pani, która mnie kiedyś przyciągnęła ze schroniska. Jednak dziewczynce nie wolno było mnie głaskać. Jej ojciec bał się mojej reakcji.

Mijały miesiące, a ja nabierałem coraz większego zaufania do moich opiekunów. Pewnego dnia mała dziewczynka razem ze swoim tatą podeszła do mnie, wyciągnęła rękę i położyła ją na moim karku. Poczulem wtedy przyjemne ciepło w sercu. Tata małej dziewczynki zabrał mnie do domu, a budę rozbrał. Żyłem od tamtej chwili w domu państwa Nowaków. Stałem się członkiem szczęśliwej rodziny i tak pozostało do dziś.

Pan Nowak zawsze powtarzał swojej córce, że zwierzęta to nie zabawka, odczuwają ból i smutek, jak również szczęście, więc trzeba się o nie troszczyć.